

George Washington



4 lutego 1789 roku kolegium elektorów, któremu nowo przyjęta konstytucja Stanów Zjednoczonych powierzyła wybór prezydenta i wiceprezydenta, głosowało jednogłośnie na George'a Washingtona jako pierwszego prezydenta nowego kraju. Ponieważ Waszyngton był prawie powszechnie uważany za człowieka niezastąpionego, ani jego wybór, ani przyjęcie na to stanowisko nigdy nie budziły wątpliwości. Z tego powodu ustawodawcy przyjęli art. II Konstytucji, rozdział przewidujący i szeroko określający obowiązki prezydenta. Nie było problemu z przyznaniem ogólnych i nieokreślonych uprawnień do urzędu, który zdaniem większości delegatów zostałby obsadzony przez człowieka tak powszechnie podziwianego i szanowanego jak Waszyngton. Kiedy oficjalne wieści o wyborze dotarły do niego 14 kwietnia 1789 r. (Opóźnienie spowodowane powolnością zebrania się Kongresu), Waszyngton niechętnie i nieszczęśliwie przystał na życzenia rodaków. "Przywykłem w Mount Vernon, do życia prywatnego i do szczęścia domowego", zwierzył się w swoim zwykle rzeczowym dzienniku, „i z umysłem gnębionym bardziej niepokojącymi i bolesnymi doznaniem, niż potrafię wyrazić, wyruszam do Nowego Jorku”. Podczas długiej, ośmiodniowej podróży do Nowego Jorku, ówczesnej stolicy kraju, prezydent elekt miał wystarczająco dużo czasu, aby zastanowić się nad swoimi zastrzeżeniami co do zadowalającego wypełnienia urzędu, zwłaszcza ze względu na przewidywalną problemy. Mając pięćdziesiąt siedem lat, zmęczony sprawami urzędowymi i kiepskim stanem zdrowia, Waszyngton uważał, że zbyt wiele życia poświęcił służbie publicznej. Jednak zrezygnował z jak najlepszej "służby mojemu krajowi w posłuszeństwie jego wezwaniu", zdał sobie sprawę, że głównym wkładem będzie szybkie zmniejszenie sprzeciwu wobec nowego rządu centralnego, ujawnionego w burzliwych debatach jego ratyfikacji, zadanie, do którego wykonania on, bardziej niż jakikolwiek inny Amerykanin, miał najlepsze kwalifikacje. Zdawał sobie również sprawę, że „pierwsze transakcje narodu, takie jak te dokonane przez jednostkę po pierwszym wejściu w życie, robią najgłębsze wrażenie, i... tworzą wiodące cechy jego postaci.” Odcisk dwóch kadencji Waszyngtonu miał trwałe znaczenie nie tylko w historii amerykańskiej prezydencji, ale także w tworzeniu realnego rządu krajowego. Być może tylko on mógł z takim sukcesem osiągnąć te cele. Ze względu na temperament, wykształcenie, a przede wszystkim wybitny status architekta amerykańskiej niepodległości, był właściwym człowiekiem, we właściwym czasie, na odpowiednim stanowisku.

Wczesne lata

Washington urodził się 22 lutego 1732 r. Jako pierwszy syn Augustyna Washingtona i jego drugiej żony Mary Ball w hrabstwie Westmoreland w Wirginii. Umiarkowany zamożny plantator Augustyn miał dużą rodzinę - czworo dzieci z pierwszego małżeństwa i sześcioro dzieci z drugiego. Wkrótce po narodzinach George'a jego rodzina przeniosła się na plantację w hrabstwie Stafford, po wschodniej stronie rzeki Rappahannock, gdzie zdobył skromne wykształcenie w czymś, co teraz nazwano by prywatną szkołą. Później opanował geodezję. Jego ulubionym rodzeństwem i idolem był jego najstarszy przyrodni brat, Lawrence, który został zastępczym ojcem George'a, gdy Augustine Washington zmarł w 1743 roku, w tym samym roku, w którym Lawrence poślubił córkę pułkownika Williama Fairfaxa, szefa jednego z najbardziej prominentnych społecznie i wpływowych rodziny w Wirginii. W wieku siedemnastu lat George został członkiem gospodarstwa domowego Lawrence'a w Mount Vernon, którego część odziedziczył po śmierci swojego starszego brata w 1752 roku. Jedyne doświadczenie wojskowe, jakie Waszyngton miał przed rewolucją amerykańską, zdobył w latach pięćdziesiątych XVIII wieku. Mianowany adiutantem generalnym okręgu wojskowego w Wirginii w randze majora w 1751 roku, Waszyngton został wysłany dwa lata później przez gubernatora Roberta Dinwiddiego do Doliny Ohio, aby ostrzec Francuzów przed niebezpieczeństwem wkroczenia na ziemie, do których roszcżą sobie Anglicy. Francuzi nie zostali odstraszeni, a podczas wojny francusko-indiańskiej, która nastąpiła, Waszyngton, obecnie podpułkownik, służył jako adiutant generała Edwarda Braddocka, na którym to stanowisku brał udział w katastrofalnej wyprawie przeciwko Fort Duquesne. Po tej klęsce Waszyngton służył w latach 1755-1758 jako dowódca milicji z Wirginii powołanej do obrony zachodniej granicy kolonii. W tym charakterze z satysfakcją dowodził udaną wyprawą przeciwko Fort Duquesne. 6 stycznia 1759 roku Waszyngton poślubił Martę, zamożną wdowę po Johnie Parke Custisie i córkę Johna Dandridge'a. Wraz z Martą i jej dziećmi osiadł w Mount Vernon, stając się typowo zamożnym wiejskim dziedzicem. Jego status odzwierciedlała jego służba w House of Burgesses od 1759 do 1774 roku. Waszyngton, ostrożny i rozważny arystokrata z Wirginii, był jednak jednym z pierwszych mieszkańców Wirginii, którzy zaprotestowali przeciwko brytyjskiej polityce kolonialnej. Publicznie podkreślił swój sprzeciw, przyjmując nominację na delegata na Kongres Kontynentalny w latach 1774–1775. 15 czerwca 1775 został wybrany przez to gremium na naczelnego wodza armii kontynentalnej. Saga o wyczynach Waszyngtonu podczas wojny o niepodległość była opowiadana wiele razy i nie ma potrzeby jej tu powtarzać. Do najważniejszych wydarzeń w jego niezwyklej karierze wojskowej należało udane oblężenie Bostonu w latach 1775–1776; przekroczenie Delaware w noc Bożego Narodzenia 1776 r. i klęska czerwonych płaszczy pod Trenton; przygnębiające klęski jesienią 1777 r. pod Brandywine i Germantown w Pensylwanii; przejmująco mroźna zima, którą przygnębiona armia kontynentalna przetrwała w Valley Forge w latach 1777–1778; umiejętnie dowodzone zwycięstwo pod Monmouth w stanie New Jersey w czerwcu 1778 roku; oraz słynna kampania Yorktown w 1781 r., która zakończyła wojnę. W tym czasie Waszyngton był czołowym bohaterem rewolucji, praktycznie kanonizowanym przez swoich rodaków i powszechnie szanowanym za granicą. Po ośmiu i pół roku jako naczelny dowódca armii rewolucyjnej Waszyngton zrezygnował ze służby i powrócił do dawnego życia jako plantator w Mount Vernon. Był niezmiernie zadowolony, że został zwolniony z ciężkich obowiązków oficjalnego życia i szczęśliwy, że znów jest prywatnym obywatelem. Ale słabość rządu na mocy Statutu Konfederacji i konieczność wzmocnienia Unii szybko przekonały go, że jego marzenie o spokojnej emeryturze w Mount Vernon prawdopodobnie legnie w gruzach. Wkrótce było. Przekonany, że „szybko zbliżamy się do anarchii i zamieszania”, Waszyngton zaakceptował jego wybór jako delegata na Konwencję Konstytucyjną, która zebrała się w Filadelfii w maju 1787 roku i został wybrany jej przewodniczącym. Po napisaniu i ratyfikacji nowej konstytucji nie było, jak już powiedziano, wątpliwości co do tożsamości pierwszego prezydenta nowego narodu. Podróż Waszyngtonu do nowej stolicy w kwietniu 1789 roku była fizycznie uciążliwa, ale była to triumfalna procesja, która nie miała sobie równych w historii kraju. Na głównych przystankach na jego trasie witano go w sposób godny rzymskiego zdobywcy lub europejskiego władcy – biły dzwony,

strzelano z armat, wygłaszano niezliczone przemówienia gratulacyjne, recytowano ody, organizowano parady i publiczne bankiety. Gdy płynął przez Zatokę Nowojorską na ostatnim etapie swojej podróży, towarzyszył mu slup pełen chórzystów, którzy śpiewali ody – jeden z nich w melodii „God Save the King” – na jego cześć. Kiedy dotarł do Baterii, okrzyki gęstego tłumu i bicie kościelnych dzwonów rywalizowały z grzmotem salutów z trzynastu dział baterii okrętowych i lądowych. Takie uwielbienie wskazuje na duże trudności w obiektywnej ocenie dokonań i niedociągnięć pierwszego prezydenta. Od przejścia na emeryturę w 1783 roku jako głównodowodzący armii kontynentalnej był okrzyknięty „ojcem swojego kraju”, okrzyknięty amerykańskim Atlase lub Fabiusem i czczony jako Cincinnatus zwycięskiej rewolucji swojego narodu. Najstłynniejszy Amerykanin swoich czasów, w kraju i za granicą, był już postacią legendarną i jako taki był praktycznie odporny na krytyczne lub partyzanckie zadziory i strzały rzucające w wielu jego następców prezydenckich. Nadal jest pamiętany przede wszystkim jako bohater rewolucji, wojskowy przywódca najbardziej odpowiedzialny za ustanowienie na polu bitwy nowego i ostatecznie potężnego narodu. Nawet teraz, od prawie dwóch stuleci, jego prezydentura jest uważana za postscriptum do jego słynnego generała. Prawdą jest również, jak skomentował jeden z bliskich badaczy jego kariery, J. A. Carroll, że „biografowie Jerzego Waszyngtona albo uznali go za paradoks i uczynili z niego wzór, albo uznali go za wzór i pozostawili mu paradoks”. Trwały wizerunek Waszyngtona pozostaje tym, który spopularyzowali sławni rzeźbiarze i portreciści, zwłaszcza Gilbert Stuart, który namalował go co najmniej sto dwadzieścia cztery razy. Waszyngton był różnie przedstawiany jako rzymski imperator z mieczem i togą; Cyncynat przy pługu; lub rzadziej, jak na portrecie „Lansdowne” Stuarta, republikański mąż stanu ubrany w czarny aksamit. Podsumowując, jak spostrzegawczo zauważył Marcus Cunliffe, Waszyngton „został pograżony we własnym micie – metaforycznym Pomniku Waszyngtona, który ukrywa przed nami zarysy prawdziwego człowieka”. 30 kwietnia 1789 r. Robert R. Livingston, kanclerz stanu Nowy Jork złożył przysięgę pierwszemu mieszkańcowi kraju. Ceremonia odbyła się na małym portyku przebudowanej Federal Hall, tuż obok sali Senatu, w której zebrały się obie izby Kongresu. Washington, wysoki, wyprostowany, z upudrowanymi włosami, przybywszy kanarkową karetą zaprzęzoną w sześć koni, miał na sobie garnitur z brązowego sukna domowej roboty, a jego strój zdobiły srebrne sprzączki do butów i szabla w stalowej pochwie. Przyrzekając zachować, chronić i bronić Konstytucji Stanów Zjednoczonych, spoglądał z balkonu Federal Hall na tłumy ludzi, które stały wzdłuż ulic Wall i Broad Street. Tłum wiwatował, z Baterii dobiegł salut z trzynastu dział, a prezydent, kłaniając się na znak uznania, wycofał się. Zająwszy miejsce na podwyższeniu w sali Senatu, Waszyngton ściszym głosem, niezgrabnymi gestami i drżącymi rękami wygłosił krótkie przemówienie inauguracyjne. Chociaż okazja była inspirująca, a słuchacze oszołomieni dwornym i imponującym wyglądem prezydenta, samo przemówienie, podobnie jak wielu jego następców, czytane na zimno nie było szczególnie imponujące. Powtórzył swoje często powtarzane twierdzenia dotyczące konfliktu między obowiązkiem a skłonnością, świadomości swoich „niższych zdolności” i braku praktyki „w obowiązkach cywilnych administracji” i (być może, aby zrekompensować te braki) odwołał się do opieki „tej Wszechmocnej Istoty, która rządzi Wszechświatem” i której „opatrność” troskliwie kierowała narodem Stanów Zjednoczonych. Przechodząc do spraw państwowych, prezydent jedynie zadeklarował zamiar poddania się osądowi Kongresu. Jego jedyną konkretną prośbą było, aby nie otrzymywał wynagrodzenia i aby jego odszkodowanie „było ograniczone do takich rzeczywistych wydatków, jakich wymaga dobro publiczne”.

Pierwszy warunek

Jednym z najważniejszych wydarzeń w pierwszych miesiącach urzędowania Waszyngtona było utworzenie przez Kongres departamentów wykonawczych i wyznaczenie prezydenta na ich szefa. Ustawa ustanawiająca Departament Stanu weszła w życie 27 lipca; środek tworzący Departament Wojny został zatwierdzony na początku sierpnia; a Departament Skarbu powstał 2 września. Kongres

przewidział także dwóch oficerów wykonawczych, którym brakowało departamentu: prokuratora generalnego i generalnego poczmistrza. Na to pierwsze prezydent wybrał Edmunda Randolpha, prawnika z Richmond, byłego gubernatora Wirginii i antyfederalistycznego odstępcę, którego Waszyngton osobiście szczególnie lubił. Na generalnego naczelnika poczty Waszyngton wyznaczył Samuela Osgooda, którego zadanie w tych stosunkowo prostych czasach odbywało się w jednym pokoju z pomocą dwóch urzędników. Przewidywalnym kandydatem prezydenta do Departamentu Wojny był Henry Knox, który zarządzał odpowiednim urzędem w Konfederacji. Chociaż był miły i chętny do współpracy, Knox okazał się najmniej zdolnym administratorem gabinetu oraz najmniej niezależnym i stanowczym członkiem. Wybór Waszyngtonu na sekretarza stanu był pewnym zaskoczeniem: Thomas Jefferson, rodak z Wirginii, który był w przededniu powrotu z Francji, gdzie jego służba jako ambasadora Stanów Zjednoczonych od 1784 roku przyniosła mu dyplomatyczne wyróżnienie i szacunek Waszyngtonu. Na szefa Departamentu Skarbu prezydent powołał byłego adiutanta i jednego z czołowych nacjonalistów w kraju, Alexandra Hamiltona. Praktyka kolektywnych konsultacji prezydenckich z rządem rozwijała się bardzo powoli. Na początku Waszyngton zasięgał porady swoich głównych ministrów indywidualnie, czasami prosząc o raporty w wyznaczonych kwestiach lub czasami zapraszając jednego lub drugiego do przedyskutowania spraw przy śniadaniu. Pod koniec 1791 r. prezydent zaczął zwoływać spotkania szefów departamentów wykonawczych (w tym prokuratora generalnego, głównie dlatego, że większość problemów wysokiego szczebla dotyczyła często kwestii prawnych). Grupa spotykała się coraz częściej podczas pozostałej części pierwszej kadencji Waszyngtonu i często podczas jego drugiej. Waszyngton szedł na posiedzenia gabinetu z myślą o porządku dziennym, ograniczając w ten sposób dyskusję do wybranych przez siebie kwestii i zniechęcając do wprowadzania niepowiązanych tematów. Nie brał czynnego udziału w posiedzeniach gabinetu, pozostawiając debatę swoim ministrom, o opinie których czasami prosił na piśmie. Po podjęciu decyzji spodziewał się, że jego szefowie departamentów wykonają ją bez sprzeciwu. Chociaż bez wątplenia życzyłby sobie jednomyślności, prezydent często musiał wybierać spośród ostro podzielonych poglądów swoich głównych ministrów, zwłaszcza Hamiltona i Jeffersona (którzy, jak później wspominał sekretarz stanu, „codziennie spierali się ... jak dwa koguty”). Knox prawie zawsze niewolniczo opowiadał się po stronie sekretarza skarbu, Jefferson zwykle nie zgadzał się z jednym i drugim, a Randolph kierował chaotycznie niezależnym kursem, który, choć bliższy kursowi jego kolegi z Wirginii niż Hamiltona i Knoxa, skłonił Jeffersona do określenia go jako „niezdecydowanego” i „kameleon”. Większe znaczenie historyczne niż niezgody w rządzie miało jego bezpieczne ustanowienie jako organu doradczego prezydenta. Nie był to rozwój nieuchronny, gdyż Konstytucja nie przewidywała takiej funkcji. Ale było to do przewidzenia z powodów, które pierwszy prezydent przedstawił pod koniec kongresu w Filadelfii: „Niemożliwe, żeby jeden człowiek... wykonywał wszystkie wielkie sprawy państwowe, co uważam za powód ustanowienia wielkich departamentów i mianowania w nich urzędników, aby pomagali najwyższemu sędziemu w wypełnianiu jego obowiązków”. I taki pogląd pozostał uzasadnieniem dla pozakonstytucyjnego organu, który od tego dnia do dziś jest główną instytucją rządową. Wiele innych wydarzeń związanych z prezydenturą Waszyngtonu stworzyło precedensy, które trwale ukształtowały strukturę rządu federalnego. Jak ujął to sam Waszyngton: „Niewielu, którzy nie są filozoficznymi widzami, zdaje sobie sprawę z trudnej i delikatnej roli, jaką musi odegrać człowiek w mojej sytuacji”. . . . Chodzę po nietkniętym gruncie. Nie ma prawie żadnej części mojego postępowania, która nie mogłaby zostać w przyszłości uznana za precedens”. Stało się tak, ponieważ Konstytucja przewidywała jedynie szkielet rządu, a nowy rząd miał niewiele ustalonych wytycznych, na których mógł się oprzeć. Zamiast realnych precedensów Konfederacja pozostawiła w spadku jedynie niewielką liczbę nieopłacanych urzędników, duży dług, bezwartościowe papierowe pieniądze, a w efekcie zbankrutowaną i słabą Unię. Główne problemy, stare i nowe, pilnie potrzebne rozwiązania. Na przykład Karolina Północna i Rhode Island uparcie pozostawały poza nową Unią; obywatele Vermont nadal spiskowali z Kanadą; Wielka Brytania nadal odmawiała zrzeczenia się swoich

stanowisk na Zachodzie Ameryki; i była tylko mała armia i w ogóle nie było floty. Praktycznie każda próba rozwiązania tych trudności przez administrację stanowiła precedens, podobnie jak jej decyzje i działania w większości innych kwestii, zwłaszcza dotyczących wykładni Konstytucji. W procesie ustanawiania precedensów Waszyngton okazał się niezwykle zdolnym wykonawcą. „W swoich codziennych zadaniach administracyjnych” skomentował Leonard D. White, wybitny autorytet w dziedzinie amerykańskiej administracji publicznej, „był systematyczny, uporządkowany, energiczny, troszczył się o opinię innych, ale był zdecydowany, skupiony na ogólnych celach i spójność poszczególnych działań z nimi”. Podsumowując, Waszyngton wykazał się mistrzostwem w szczegółach administracyjnych i zarezerwował sobie ostatnie słowo w najważniejszych sprawach państwowych. Zwykle nie obejmowało to spraw legislacyjnych. Chociaż Kongres - pomimo praktycznie jednomyślnej wiary w trójpodział władzy - był początkowo otwarty na kierownictwo prezydenta, Waszyngton nie był skłonny do osobistego oferowania silnego przywództwa. Uczynił, posłuszny konstytucyjnemu nakazowi, aby dyrektor naczelny doradzał Kongresowi w sprawie stanu Unii i „zalecał im do rozważenia takie środki, jakie uzna za konieczne i celowe”. Wypełniając ten obowiązek, Waszyngton zdecydował się pojawić osobiście na otwarciu każdej sesji Kongresu w celu przeglądu zapisów z poprzedniego roku i zaproponowania tematów do rozważenia przez Kongres. W trakcie sesji od czasu do czasu przysyłał specjalne wiadomości, głównie informacyjne, w ważnych kwestiach w miarę ich pojawiania się. Na początku przestrzegano rozbudowanego protokołu, a Kongres przygotowywał formalne odpowiedzi na doroczne orędzia prezydenta, choć nie zawsze reagował przychylnie na jego zalecenia. Podczas jego pierwszej administracji szefowie departamentów Waszyngtonu odgrywali również aktywną rolę w doradzaniu Kongresowi w sprawie polityki legislacyjnej. Dotyczyło to zwłaszcza sekretarza skarbu. Chociaż Izba nie chciała pozwolić Hamiltonowi stawić się przed nią osobiście, mimo to sprawował instrumentalne przywództwo legislacyjne. Obejmowało to składanie pisemnych raportów i wykorzystywanie wpływu na członków komisji kongresowych. Ale trend w kierunku przywództwa wykonawczego Kongresu – zwłaszcza w wykonaniu Hamiltona – drastycznie się zmienił podczas drugiej administracji Waszyngtonu. Zmiana nie była spowodowana rewizją poglądów Waszyngtonu lub jego ministrów na przywództwo prezydenckie, ale raczej mniej przychylną reakcją Kongresu, co z kolei wiązało się ze stopniowym rozwojem partii politycznych, federalistów i demokratów-republikanów. Pomimo próby Hamiltona wywarcia decydującego wpływu, Pierwszy Kongres zainicjował większość uchwalonych przez siebie aktów prawnych. Tak było z ustaleniem wynagrodzeń dla urzędników państwowych; przyjęcie tytułów, form i ceremonii zgodnych z tym, co senator William Maclay z Pensylwanii nazwał „republikańską prostotą”; dostarczenie karty praw; i uchwalenie ustawodawstwa taryfowego. W jednym rzucającym się w oczy przypadku Kongres wzmocnił również uprawnienia prezydencji. Chodziło o prawo prezydenta do jednostronnego usunięcia ze stanowiska tych urzędników publicznych, których powołanie Konstytucja wymagała zatwierdzenia przez Senat. James Madison z Wirginii, jeden z najzdolniejszych i najbardziej wpływowych członków Izby Reprezentantów, starał się pozbawić Senat wszelkich roszczeń do zawetowania dymisji wykonawczych, wprowadzając możliwość odwoływania szefów departamentów przez prezydenta wyłącznie z własnej inicjatywy. Izba zatwierdziła wniosek Madison, ale Senat nie dał się tak łatwo przekonać. Głosowanie nad rezolucją było remisem, który został zerwany przez jej przewodniczącego, wiceprezydenta Johna Adamsa, na rzecz wyłącznej władzy wykonawczej. W ten sposób ustanowiono ważne źródło władzy prezydenckiej, mimo milczenia Konstytucji na ten temat doprowadziło do półtora wieku sporadycznych kontrowersji na jego temat. Raczej mniej precedensowe było stanowisko Waszyngtonu w sprawie prawa weta prezydenta. W jego ocenie owo uprawnienie zostało przyznane, aby umożliwić prezydentowi zachowanie Konstytucji poprzez blokowanie ustawodawstwa, które jego zdaniem ją łamie, a funkcję, którą później przejmie przede wszystkim Sąd Najwyższy. Jeśli chodzi o samą władzę wykonawczą, Waszyngton nie musiał korzystać z weta, aby chronić ją przed najazdami Kongresu (jak przewidywał Hamilton w *The Federalist*), głównie dlatego, że zaufanie Kongresu do Waszyngtona zapobiegło takim

próbom. Co więcej, Waszyngtonowi nigdy nie przyszłoby do głowy zawetować ustawę, ponieważ nie zgadzał się z nią z powodów politycznych, choćby dlatego, że nie uważał się za lidera partii. Krótko mówiąc, w ciągu ośmiu lat urzędowania Waszyngton, trzymając się postanowienia, że rozdział władzy wymaga od niego prowadzenia wobec Kongresu polityki bezinteresownej, zawetował tylko dwa stosunkowo niewielkie akty prawne. Chociaż relacje między władzą wykonawczą a ustawodawczą miały w przyszłości okazać się bardziej istotne, kwestie protokołu prezydenckiego wydawały się Waszyngtonowi mieć podobne, jeśli nie większe znaczenie. Ustanowił harmonogram spotkań towarzyskich obejmujący trzy rodzaje spraw: jego „tamy” tylko dla mężczyzn, wystawiane we wtorkowe popołudnia; herbatki jego żony (na które również uczęszczał), organizowane w piątkowe wieczory; oraz oficjalne kolacje, odbywające się w czwartki o czwartej po południu. Kolacje i tamy były sztywnymi i formalnymi sprawami, co skłoniło niektórych niezadowolonych Republikanów do narzekania, że styl rozrywki Waszyngtonu był bardziej królewski niż Jerzego III – zwiastun amerykańskiej monarchii, narzekali bardziej radykalni krytycy. Harmonogram rozrywki Waszyngtona został zaprojektowany tak, aby oszczędzał mu czas, oszczędzając mu skądinąd ciągłej ingerencji rozmówców; sztywna jakość prezydenckiej rozrywki wynikała z jego własnej rezerwy i formalności. (Ta cisza panowała na przykład podczas oficjalnych obiadów, ponieważ prezydent, który miał zainicjować rozmowę przy stole, nie był olśniewającym rozmówcą). Krytycy prezydenta, jak zauważył Marcus Cunliffe, byli „niesprawiedliwi, nie zdając sobie sprawy, że było czymś więcej niż człowiekiem, który ją zajmował. Był to symboliczny urząd, który większość Amerykanów wtedy i później spodziewała się utrzymać z pewnym stopniem przyzwoitości”. Ceremonialne aspekty prezydentury Waszyngtonu zostały również zademonstrowane podczas wycieczek po kraju. Choć były one proste i krótkie w porównaniu z podobnymi podróżami znacznie późniejszych prezydentów, stanowiły, podobnie jak wiele pozornie nieistotnych aktów pierwszego prezydenta, precedens. Waszyngton odbył dwie takie podróże, jedną przez Nową Anglię jesienią 1789 r., a drugą przez stany południowe w kwietniu 1791 r. Podróże te nie tylko ustanowiły precedens, ale nauczyły Waszyngtona tego, co odkryje wielu późniejszych prezydentów: głębokiej satysfakcji płynącej z osobistego kontaktu z ogół Amerykanów, którzy w jego przypadku ewidentnie go podziwiali, szanowali, a nawet czcili. Należy podkreślić, że Waszyngton, w przeciwieństwie do wielu jego następców, nie szukał korzyści partyjnej ani osobistej popularności w takich podróżach. Niemniej jednak to w dużej mierze dzięki ogromnej popularności Waszyngtona odegrał on kluczową rolę w ustanowieniu skutecznej administracji i pojednaniu większości Amerykanów z nowym rządem i jednocześnie władzą narodową. To Hamilton dał prezydencji Waszyngtona coś, co sam określił mianem „impulsu wykonawczego”. Mianując Hamiltona w Waszyngtonie, w którego sztabie młody nowojorczyk służył podczas rewolucji, zdał sobie sprawę, że wykorzystuje najlepszy talent finansowy, jaki kraj może zaoferować. Satysfakcja prezydenta była tym większa, że słusznie dostrzegął, iż ośrodkiem nerwowym nowego rządu będzie Departament Skarbu. Nieudolność fiskalna była w głównej mierze odpowiedzialna za ciąg wydarzeń, które obaliły Konfederację i doprowadziły do uchwalenia Konstytucji. Jednym z najważniejszych postanowień tego dokumentu było przyrzeczenie, że „wszystkie długi zaciągnięte i zobowiązania podjęte przed przyjęciem Konstytucji będą tak samo ważne wobec Stanów Zjednoczonych w ramach tej Konstytucji, jak za czasów Konfederacji”. Nowy rząd był wypełnieniem tego zobowiązania, a Hamiltonowi przypadło zadanie zaproponowania sposobów i środków. Jego zalecenia wywołały najbardziej zaciekle kontrowersje prezydencji Waszyngtonu. Propozycje Hamiltona zostały przedłożone Kongresowi 14 stycznia 1790 r. w jego Raporcie dotyczącym rezerwy na wsparcie kredytu publicznego, który był również jego planem dobrze prosperującego, silnego, a nawet wybitnego rządu centralnego. Raport zapoczątkował zajadłą kontrowersję, która zajmowała Kongres przez resztę sesji. W tej słynnej gazecie państwowej Hamilton dokonał podziału długu publicznego - obejmującego naliczone odsetki oprócz kapitału – na trzy kategorie: po pierwsze, dług zagraniczny, w sumie około 11,7 miliona dolarów; po drugie, zadłużenie krajowe w wysokości 40,4 mln USD; po trzecie, długi stanów, około 25 milionów

dolarów. Zaapelował o całkowite umorzenie długu zagranicznego (wraz z odsetkami); spłata wartości nominalnej kapitału długu krajowego, ale z obniżeniem umownych stóp procentowych; oraz przejęcie długów państwowych na takich samych warunkach jak publiczne papiery wartościowe, ale z odroczeniem spłaty odsetek do 1 stycznia 1792 r. Aby utrzymać cenę publicznych papierów wartościowych i zarządzać ewentualną nadwyżką rządową, sekretarz skarbu zaproponował utworzenie funduszu amortyzacyjnego. Początkowo debata nad raportem Hamiltona koncentrowała się na krajowym długu narodowym i została zainicjowana przez Jamesa Madisona, który w połowie lutego 1790 r. zaproponował poprawkę do zaleceń Hamiltona. Kwestią sporną było pytanie, komu należy dokonać zapłaty, tym, którym pierwotnie wystawiono certyfikaty, czy też, jak proponował sekretarz skarbu, obecnym właścicielom, z których wielu było spekulantami? Plan Madisona miał na celu oddanie sprawiedliwości pierwotnym posiadaczom długu, a także zaspokojenie chciwości cesjonariuszy. Zaproponował, aby ci, którzy wykupili rządowe papiery wartościowe, otrzymali najwyższą kwotę, jaką osiągnęli. Niech różnica między tą kwotą a wartością nominalną akcji zostanie wypłacona pierwotnym posiadaczom. W odpowiedzi zwolennicy Hamiltona argumentowali, że dyskryminacja, jak nazwano plan Madisona, oznaczałaby niedopuszczalny wzrost i tak już nabrzmiałego długu publicznego, a zadanie rozróżnienia między pierwotnymi posiadaczami a cesjonariuszami wciągnęłoby rząd w administracyjne grzęzawisko. Przede wszystkim z tych powodów dyskryminacja została zdecydowanie pokonana 22 lutego. Kongres skupił się teraz na projekcie ustawy o przejęciu długów stanowych przez rząd federalny, w sprawie której utknął w martwym punkcie aż do przeddzień odroczenia, jakieś sześć miesięcy później. Te stany, których rewolucyjne długi pozostały w większości niespłacone, opowiadały się za tym środkiem, te, których zobowiązania finansowe zostały w dużej mierze spłacone, sprzeciwiały się temu, a te z umiarkowanymi i finansowanymi długami były niezaangażowane lub nieprzewidywalne. Kongres znalazł się również w impasie w sprawie lokalizacji stolicy kraju, a następnie Nowego Jorku, co w tamtym czasie wydawało się wielu ustawodawcom równie ważne jak środki fiskalne Hamiltona. Politycy z głównych miast kraju (głównie z Baltimore i Filadelfii) skwapliwie zabiegali o upragnioną nagrodę, podobnie jak południowcy, którzy nalegali, aby znajdowała się ona na pustkowiu w pobliżu rzeki Potomac. Sytuacja dojrzała do kompromisu lub kompromisów, które przełamałyby kongresowy zamęt w tej sprawie i w założeniach. Głosy kongresmanów z Pensylwanii, powszechnie uważanej za stan swingowy, zapewniły powodzenie ustawie pobytowej przewidującej, że Filadelfia ma służyć jako stolica przez dekadę, po czym rząd przeniesie się na stałe w okolice Georgetown, nad Potomakiem. Terminowe ustępstwa Hamiltona, aby uczynić założenie bardziej do przyjęcia dla jego przeciwników, zapewniły głosy niezbędne do przyjęcia tego środka. Jak miał w zwyczaju, Waszyngton nie wstawił się za żadnym z projektów ustaw, ani nawet nie skomentował ich publicznie. Ich przejście pozostawiono sojusznikom administracji w Kongresie i zakulisowemu przywództwu legislacyjnemu Hamiltona. Ale prezydent opowiedział się za obydwojema środkami i 4 sierpnia 1790 r. Bez wahania podpisał je, niewątpliwie zadowolony, że tak dzielące kwestie zostały pomyślnie rozwiązane. Gdyby wiedział o tym w tamtym czasie, Waszyngton nie byłby zadowolony z powodu stopniowo pogłębiającej się przepaści między jego głównymi członkami gabinetu, Hamiltonem i Jeffersonem. W ciągu miesięcy następujących bezpośrednio po przybyciu Jeffersona do Nowego Jorku w marcu 1790 roku, oficjalne powiązania i osobiste relacje między dwoma mężczyznami były pozornie harmonijne. Ale patrząc z perspektywy czasu, ostateczne starcie między dwoma tak egocentrycznymi, silnymi i ambitnymi mężczyznami, których dzieliła filozofia polityczna, rozbieżne pochodzenie rodzinne, status społeczny, osobowość i sposób bycia były nieuniknione. Wkrótce po zwołaniu II Kongresu w 1790 r. początkowa, ale powierzchowna postawa obu mężczyzn polegająca na osobistej wyrozumiałości i oficjalnej współpracy została zastąpiona nieskrywaną wzajemną podejrzliwością. Wyszło na jaw podczas kontrowersji wywołanych Raportem Hamiltona o Banku Narodowym, najważniejszą kwestią dyskutowaną przez Kongres, który zebrał się w Filadelfii 6 grudnia 1790 r., na pierwszej sesji, która odbyła się w tymczasowej stolicy. Hamilton wezwał Kongres do powołania banku

narodowego o kapitalizacji 10 milionów dolarów, z czego jedną piątą całości ma zapewnić rząd na własny rachunek, a resztę inwestorzy indywidualni. Chociaż zasadniczo „pod kierownictwem prywatnym, a nie publicznym”, bank opierał się na zasobach i kredycie Stanów Zjednoczonych, a głównym celem była pomoc w operacjach finansowych kraju. Miał on nie tylko pomóc, ale także wzmocnić nowy rząd, obiekty, które nie zostały utracone przez przeciwników sekretarza skarbu, zwłaszcza Madisona i Jeffersona. Większość Kongresu zaakceptowała jednak argument Hamiltona: ustawa ustanawiająca Bank Stanów Zjednoczonych przeszła gładko przez Senat, a w połowie lutego Izba Reprezentantów wyraziła zgodę po zaledwie dwóch tygodniach debaty. Środek został przedstawiony prezydentowi 14 lutego 1791 r. Choć krótka, debata w Izbie była na tyle gorąca, a argumenty opozycji na tyle przekonujące, że Waszyngton zaniepokoił się co do konstytucyjności środka. Aby rozwiać takie wątpliwości, zwrócił się o poradę do prokuratora generalnego Edmunda Randolpha, który uznał bank za niezgodny z konstytucją. Wciąż niezdecydowany Waszyngton zwrócił się do swojego sekretarza stanu. Jefferson, fundamentalista konstytucyjny i konserwatysta fiskalny, przedstawił w swojej opinii na temat banku sztywno dosłowną i ścisłą konstrukcję konstytucji, która praktycznie zdusił rząd narodowy w jego powijakach. Wciąż niezdecydowany prezydent wysłał kopie opinii Randolpha i Jeffersona do sekretarza skarbu, pośrednio prosząc go o ich obalenie. Chociaż był przekonany, że Hamilton jest w stanie to zrobić, Waszyngton nie mógł przewidzieć mistrzostwa eseju z zakresu prawa konstytucyjnego, które otrzymał w odpowiedzi. Obalając stanowisko Jeffersona punkt po punkcie, głównym argumentem Hamiltona było to, że konstytucyjna dosłowność jego antagonisty byłaby zniszczyła „sprawiedliwą i niezastąpioną władzę Stanów Zjednoczonych”. Odrzucając niemal pogardliwie negatywne podejście Jeffersona, sekretarz skarbu przedstawił odważnie afirmatywną opinię, która podkreślała raczej zakres niż ograniczenia władzy rządu. Prezydent mógł, ale nie musiał, w pełni dostrzegać kierunek myśli Hamiltona, ale przekonał go argument sekretarza skarbu, że proponowany bank był konstytucyjnym wykonaniem wyliczonych uprawnień rządu do regulowania handlu, pobierania podatków i zapewniania wspólnej obrony. 25 lutego Waszyngton podpisał ustawę ustanawiającą Bank Stanów Zjednoczonych. Stając po stronie sekretarza skarbu w sprawie utworzenia banku narodowego, Waszyngton mimowolnie wydobyl na jaw i zaostrzył rywalizację między primadonnami swojej oficjalnej rodziny, Hamiltonem i Jeffersonem. Ale jak wielu historyków od dawna podkreślało, ten konkurs był w dużej mierze osobistym wyrazem głęboko zakorzonego i intensywnego konfliktu sekcyjnego między właścicielami niewolników i innymi rolnikami z Południa a merkantylnymi i pokrewnymi interesami komercyjnymi Północy. Odkąd Waszyngton stanął po stronie Hamiltona w sprawie banku, a także w innych kwestiach gospodarczych, często był przedstawiany jako nieświadomy zwolennik północnego biznesu. Pierwszy prezydent faktycznie nie reprezentował ani jednej, ani drugiej sekcji, ani żadnej konkretnej klasy. Raczej, jak wnikliwie skomentował James Thomas Flexner, „wyobraził sobie gospodarkę mieszaną, w której agraryzm i działalność gospodarcza będą się ze sobą łączyć”. unia. Co więcej, przywrócenie i trwałe ustanowienie kredytu publicznego było środkiem do osiągnięcia tego samego celu. Daleki od zaniepokojenia spekulacjami wywołanymi sprzedażą obligacji rządowych i akcji banków (która przeraziła Jeffersona), Waszyngton pogratulował sobie i swoim rodakom, że „nasz kredyt publiczny opiera się na tym gruncie”, który w momencie uruchomienia nowy rząd „zostałby uznany za rodzaj szaleństwa, które można by przepowiedzieć”. Chociaż prezydent w ten sposób zatwierdził większość polityki Hamiltona, w żadnym wypadku nie poparł ich automatycznie. Wierząc, że Stany Zjednoczone pozostaną przez następne pokolenia krajem rolniczym, nie podzielał na przykład wizji swojego sekretarza skarbu o potężnym, uprzemysłowionym kraju, o czym świadczyła jego odmowa poparcia najbardziej ambitnego (a w przypadku proroctwa Hamiltona) sprawozdanie - jego apel o zachęcenie manufaktur. Podsumowując, stereotypowe postrzeganie Waszyngtonu jako jedynie figuranta, którego administracją faktycznie kierował Hamilton (pogląd pierwszy i najbardziej dobitnie przedstawiony przez Jeffersona) jest niedokładne. Waszyngton nie tylko podejmował najważniejsze decyzje swojej administracji (zwykle, jak powiedziano, po

zasięgnięciu i rozważeniu opinii swoich doradców), ale także umiejętnie i cierpliwie próbował ustanowić pozory harmonii między swoimi kłującymi głównymi sekretarzami. Żaden dyplomata, jakkolwiek bystry, nie byłby w stanie wykonać tego zadania. Latem 1792 roku konflikt między dwoma sekretarzami dojrzał do otwartej wojny. Pod koniec lipca 1792 r. sekretarz skarbu rozpoczął anonimową (choć jego autorstwo nie było tajemnicą) krucjatę prasową mającą na celu zdyskredytowanie rywala i usunięcie go z urzędu. W miarę pojawiania się kolejnych artykułów atak Hamiltona na sekretarza stanu stawał się coraz bardziej ostry. Jefferson był „intrygującym incydentem”, którego założenia miały tendencję do promowania „rozłamu narodowego, znikomości narodowej, publicznego zamieszania i dyskredytacji”, sprawcą „najbardziej bezmyślnych i rażących czynów, jakie kiedykolwiek plamiły annały cywilizowanego narodu”. Jefferson publicznie ignorował takie okrutne napaści, ograniczając się do oczerniania rywala w osobistej i oficjalnej korespondencji. Na przykład Waszyngtonowi zarzucił, że program Hamiltona „wyływa z zasad sprzecznych z wolnością i jest obliczony na podkopanie i zburzenie republiki”. Ze swojej strony Jefferson był zdeterminowany, aby jego własna emerytura, którą wkrótce zaplanował, nie „przyćmiła się oszczerstwami człowieka, którego historia, od chwili, gdy historia może się pochylić, by go zauważyć, jest tkanką machinacji przeciwko wolności kraju, który nie tylko otrzymał i dał mu chleb, ale obsypał honorami jego głowę”. Waszyngton był bardzo zaniepokojony śmiercionośną wojną prowadzoną przez doradców, których osobiście lubił i którym oficjalnie ufał. Przekonując się, że różnice między nimi nie są nie do pogodzenia, postanowił napisać do nich w zasadzie ten sam list, w którym błagał o podporządkowanie antagonizmu osobistego interesowi narodowemu. Ponieważ żaden z sekretarzy nie podzielał sprawiedliwego temperamentu prezydenta i chęci podporządkowania prywatnej urazy bezinteresownej służbie publicznej, próba była, jak można było przewidzieć, daremna. Zarówno Hamilton, jak i Jefferson grzecznie przyznali, że rada Waszyngtona była słuszna, a następnie ją zignorowali. Jefferson był szczególnie rozdrażniony, twierdząc, że zamiast kontynuować walkę z antagonistą, którym gardził, wkrótce zrezygnuje z funkcji sekretarza stanu, co faktycznie zrobił półtora roku później. Waszyngton był zdenerwowany krnąbrnością swoich głównych ministrów nie tylko z powodów osobistych, ale także ze względów praktycznych i politycznych: spór między Hamiltonem a Jeffersonem może okazać się nie do pogodzenia, a w konsekwencji zaostrić konflikty partyjne. Co więcej, rozłam w jego oficjalnej rodzinie może zmusić go do ponownego rozważenia swojej zdecydowanej decyzji o przejściu na emeryturę pod koniec pierwszej kadencji. Ponadto brak jedności w jego oficjalnej rodzinie może niekorzystnie wpłynąć na prowadzenie spraw zagranicznych, zawsze dla Waszyngtonu przedmiotem nadrzędnej troski. Podczas jego pierwszej kadencji główne trudności dyplomatyczne Waszyngtonu dotyczyły plemion indiańskich, Wielkiej Brytanii i Hiszpanii. Najbardziej bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego stanowili rdzenni Amerykanie, którzy wędrowali i w dużej mierze kontrolowali zachodnią granicę. Gdyby byli w stanie skutecznie rozmieścić swoją siłę roboczą i wykorzystać swoje umiejętności w wojnie partyzanckiej, stanowiliby jeszcze poważniejsze niebezpieczeństwo, którego słabo uzbrojone amerykańskie siły zbrojne nie byłyby w stanie łatwo odparować. Ale poszczególne plemiona indiańskie często wydawały się bardziej skupione na walce ze sobą niż na białym człowieku, od którego były również niebezpiecznie zależne, jeśli chodzi o broń i proch strzelniczy. Dla swojej ochrony i bezpieczeństwa zdobyli je, grając przeciwko sobie trzy rywalizujące ze sobą imperia północnoamerykańskie. Spośród nich rdzenni Amerykanie najbardziej ufali hiszpańskiej Luizjanie i brytyjskiej Kanadzie, a najbardziej nie ufali Stanom Zjednoczonym. Ci pierwsi nie tylko dostarczali im amunicję, ale byli także mniej zainteresowani zajęciem terytorium niż prowadzeniem wzajemnie korzystnego handlu futrami; rodacy w Stanach Zjednoczonych byli mniej zainteresowani handlem z tubylcami niż nabywaniem ich ziem, często na podstawie traktatów uzyskanych w drodze oszustwa. Chociaż Hiszpanie próbowali zablokować ekspansję USA na południowym zachodzie, negocjując korzystne sojusze handlowe z plemionami indiańskimi, które służyły jako bufor przed próbami Stanów Zjednoczonych zajęcia Luizjany i otwarcia rzeki Mississippi dla

jej handlu, Brytyjczycy stanowili większe zagrożenie dla suwerenności nowego narodu. Północno-zachodnia granica była sceną pozornie niekończących się wojen między rdzennymi Amerykanami (wspomagani i podlegani przez ich brytyjskich sojuszników) a amerykańskimi pogranicznymi (z zamiarem odwetu za mordercze ataki na amerykańskie osady na Zachodzie). Sedno problemu, zdaniem Stanów Zjednoczonych, polegało na tym, że czerwone płaszcze kanadyjskich pułków Jego Królewskiej Mości nadal zajmowały siedem fortów na Starym Północnym-Zachodzie, które Anglia na mocy traktatu pokojowego z 1783 r. scedowała na Stany Zjednoczone. Anglia uzasadniała swoją odmowę przestrzegania tego postanowienia traktatu, wskazując na postanowienia, których Stany Zjednoczone nie dotrzymały: spłatę rewolucyjnych długów należnych brytyjskim kupcom i zwrot majątku torysów. Prawdziwym powodem trzymania się fortów przez Wielką Brytanię była ochrona trasy, którą transportowano indyjskie futra do Kanady. Waszyngton nie od razu dostrzegł charakter i zakres brytyjskich machinacji na Zachodzie. Kiedy zrobił to z opóźnieniem, szybko poprosił Kongres o powiększenie małej regularnej armii o jeden pułk. Uczyniwszy to, zdecydował w 1791 r. o przywróceniu pokoju na tym obszarze, wysyłając ekspedycję karną przeciwko walczącym plemionom. Dowodzona przez generała Arthura St. Claira armia ruszyła z Fort Washington do dzisiejszej Indiany. 4 listopada siły St. Clair, pomimo ostrzeżeń Waszyngtonu o takiej ewentualności, zostały zaatakowane i upokorząco pokonane przez konfederacką armię indiańską. Chociaż został miłosiernie uniewinniony przez Waszyngton, a także przez komisję Izby Reprezentantów, St. Clair zrezygnował z pełnienia funkcji. Armia Stanów Zjednoczonych, zreorganizowana i powiększona, znalazła się teraz pod dowództwem generała Anthony'ego Wayne'a, czołowego dowódcy wojny o niepodległość. W latach 1792 i 1793 Wayne odkładał aktywną kampanię, cierpliwie instruując swoje wojska w zakresie taktyki walki w lesie. W międzyczasie Waszyngton podjął inicjatywę innego rodzaju programu szkoleniowego, starając się przekonać Kongres i rządy stanowe, że rozwiązaniem problemu stosunków indyjsko-amerykańskich nie jest wojna, ale zmiana nastawienia i wynikająca z tego przyjęcie polityki, która zapewniłaby sprawiedliwość rdzennym Amerykanom. Na przykład zabójstwo rdzennego Amerykanina powinno być oceniane jako zabójstwo białej osoby, należy podjąć środki w celu ochrony własności tubylców i „takie radykalne eksperymenty”. . . które mogą od czasu do czasu odpowiadać ich warunkom”, powinny zostać uruchomione, aby Indianie mogli stopniowo zintegrować się z kulturą amerykańską. Okres ten nie był pomyślny dla akceptacji takich idei, zwłaszcza w świetle wytrwałości rdzennych Amerykanów w przeprowadzaniu dzikich najazdów na amerykańskich osadników na granicy. Dla Waszyngtonu bardziej pilnym i osobistym problemem były zbliżające się wybory prezydenckie w 1792 roku. Na początku swojej pierwszej administracji podjął decyzję o przejściu na emeryturę pod koniec jednej kadencji i pragnął przede wszystkim „powrócić na spacerzy życie prywatne”, wzbraniał się przed odwróceniem tego, tym bardziej, że w tej chwili scena zagraniczna wydawała się pogodna, a wydarzenia w kraju, zwłaszcza sukces programu gospodarczego Hamiltona, satysfakcjonujące. Ale czy rozłam w jego oficjalnej rodzinie zmusi go do ponownego rozważenia swojej wcześniejszej decyzji o przejściu na emeryturę? Presja, by to zrobić, napływała ze wszystkich stron, z północy i południa, od prywatnych obywateli i urzędników. Wśród tych ostatnich nikt nie był bardziej natrętny niż główni rywale jego gabinetu, którzy zawiesili zajadły spór we wszystkich innych kwestiach politycznych, aby nakłonić prezydenta do ubiegania się o reelekcję. Ani prośby Hamiltona, Jeffersona, ani wielu innych wybitnych Amerykanów nie miały żadnego wpływu na niechęć prezydenta do ogłoszenia jego kandydatury do reelekcji. Niemniej jednak przez kilka miesięcy po jego powrocie do Filadelfii z Mount Vernon w październiku 1792 r. Waszyngton nadal milczał. Zgodnie z przewidywaniami żaden rywal nie zgłosił się i nie było nawet szeptu, że się pojawi. Świadomy tego, że znalazł się w jednym polu, Waszyngton z pewnością wiedział, że elektorat uzna jego milczenie za zgodę, i tak się stało. 13 lutego 1793 r. kolegium elektorów jednogłośnie wybrało go na drugą kadencję. Jego kandydat na kandydata, John Adams, również powrócił na urząd, choć stosunkiem głosów zaledwie siedemdziesiąt siedem do pięćdziesięciu. Dla Waszyngtonu, który ma już ponad sześćdziesiąt lat i jest w złym stanie zdrowia, to, co inni

postrzegali jako triumf wyborczy, było raczej kolejnym czteroletnim wyrokiem na to, co on opisał Jeffersonowi jako „skrajną nędzę jego egzystencji”.

Druga elekcja

Druga inauguracja Waszyngtonu, 4 marca 1793 r., była prostą sprawą, szczególnie w przeciwieństwie do jego pierwszej. Działając za radą swojego gabinetu, o którego opinię na temat ceremonii towarzyszącej jego zaprzysiężeniu prosił, Waszyngton pojechał samotnie swoim powozem do sali Senatu, gdzie złożył przysięgę i wygłosił drugie przemówienie inauguracyjne. Jego zwięzłość (składał się tylko z dwóch krótkich akapitów) oraz surowy i obłudny ton być może odzwierciedlały jego rozczarowanie z powodu konieczności pozostania na stanowisku przez kolejne cztery lata. Następnie Waszyngton złożył prezydencką przysięgę i bez fanfar szybko wrócił do rezydencji wykonawczej. Jego obawy i przecucia co do drugiej kadencji nie były bezpodstawne. W ciągu kilku tygodni od jego inauguracji wydawało się, że Stany Zjednoczone są nieuchronnie wciągane w konflikt wywołany w Europie przez rewolucję francuską. Jakies trzy miesiące wcześniej do Departamentu Stanu dotarły - niepokojące wieści o wydarzeniach we Francji latem 1792 r. - o klęsce armii francuskiej, która doprowadziła do masowych demonstracji jakobińskich w Paryżu, w tym szturmie na Tuileries; uwięzienie króla; oraz zawieszenie konstytucji i ustanowienie rządu rewolucyjnego, po czym nastąpiło odrodzenie francuskich sukcesów militarnych. Następnie podczas kilku tygodni po rozpoczęciu drugiej kadencji Waszyngtonu nadeszły jeszcze bardziej złowrogie wieści - Ludwik XVI został ścięty na gilotynie, partia Girondin zdobyła władzę, Francja wypowiedziała wojnę Wielkiej Brytanii i Hiszpanii, tworzyła się wielka europejska koalicja, by stawić opór rewolucji, i wysłano do Stanów Zjednoczonych nowego ambasadora pełnomocnego republiki francuskiej. Bardzo wielu, być może większość, Amerykanów z entuzjazmem przyjęła przemianę ich monarchicznego sojusznika z wojny rewolucyjnej w siostrzaną republikę. Innymi słowy, rewolucja francuska wydawała się powtórką amerykańskiego scenariusza rewolucyjnego: walka z królewskim absolutyzmem i arystokratycznymi przywilejami była kolejnym rozdziałem w historii walki człowieka o sprawiedliwość, wolność i równość. Tak gorących nastrojów profrancuskich nie stłumiła przemoc, jaka szalała w Paryżu, ani nawet monotonna regularność, z jaką głowy arystokratów wpadały do katowskiego kosza. Jefferson przemawiał w imieniu bardziej skrajnych obrońców Rewolucji Francuskiej, komentując, że należy się tylko spodziewać, że drzewo wolności będzie czasem podlewane ludzką krwią i wyraził gotowość do zobaczenia „pola ziemi spustoszonej”, gdyby tak się stało. niezbędną dla triumfu wolności człowieka. Waszyngton zdecydowanie się nie zgodził. Uważnie bezstronny, ubolewał nad nastrojami profrancuskimi, które panowały wśród tak wielu jego rodaków. Jego żarliwym życzeniem, jak napisał w 1790 r., było, aby Ameryka „wyplątała się z pokrętej polityki Europy”. Nie był też entuzjastycznie nastawiony do panowania terroru i towarzyszącej mu rzezi. Uważał raczej, że sam „chłodny rozsądek” może „ustanowić stały i równy rząd” i ubolewał nad faktem, że takiej beznamietności „nie można się spodziewać w zgiełku zamieszek ludowych, jak zwracania uwagi na swobody ludu należy się spodziewać w ciemnej kanapie despotycznego tyrana”. Uważał, że poważne zagrożenie, jakie wojna w Europie stanowiła dla amerykańskiej suwerenności, musi być chronione przez politykę neutralności. Ale w świetle traktatów francusko-amerykańskich dotyczących wojny o niepodległość, jak można było prowadzić taką politykę? Zgodnie z warunkami tych traktatów Stany Zjednoczone obiecały przyjść z pomocą Francji, gdyby ten naród zaangażował się w wojnę; jego nagrody (ale nie te wrogów) mogły być przywożone do portów Stanów Zjednoczonych, a posiadłości w Indiach Zachodnich były gwarantowane. Czy poświęcenie honoru narodowego nie było ceną za zrzeczenie się zobowiązań wobec sojusznika Ameryki? Czy wrogość Anglii, a nawet wojna z tym narodem, nie była nieuchronną konsekwencją wypełnienia zobowiązań traktatowych wobec Francji? Waszyngton starał się uniknąć ryzyka konfrontacji zbrojnej z Anglią i niebezpieczeństwa odwetu dyplomatycznego ze strony Francji, unikając formalnego zawieszenia sojuszu francuskiego, jednocześnie nieformalnie lekceważąc jego postanowienia. Taka

była dorozumiana intencja jego słynnej proklamacji neutralności, wydanej w kwietniu 1793 r., w której oznajmił swoją determinację do „postępowania przyjaznego i bezstronnego wobec mocarstw wojujących” i zakazał swoim rodakom udzielania pomocy któremukolwiek z walczących. Zawirowania i towarzyszące im zmiany we Francji postawiły przed prezydentem inny, z punktu widzenia precedensu, ważniejszy problem: czy Stany Zjednoczone powinny uznać republikę, która zastąpiła monarchię, z którą w każdym razie w teorii francusko-amerykańskie traktaty z sojusz i handel zawarte w 1778 r. zostały wynegocjowane, czy też obalenie monarchii anulowało te traktaty? Niezależnie od decyzji Waszyngtona, ważne grupy lub interesy zostałyby wyalienowane. Gdyby nowy reżim został uznany, federaliści w kraju i arystokracja w Europie byłiby oburzeni; gdyby odmówiono uznania, Jeffersonowie w kraju i rewolucjoniści we Francji byłiby oburzeni. Po starannej naradzie Waszyngton polecił swojemu sekretarzowi stanu uznanie rządu rewolucyjnego, argumentując, że „z pewnością nie możemy odmówić żadnemu narodowi prawa, na którym opiera się nasz własny rząd, aby każdy naród mógł rządzić się sobą w dowolnej formie”. W ten sposób ustanowiono niezwykle ważny precedens dla prawa dyrektora naczelnego do rozszerzenia – lub, co za tym idzie, odmowy – uznania zagranicznemu rządowi. Nacisk Waszyngtonu na amerykański dystans wobec wojen rewolucji francuskiej był prawdopodobnie jego największym osiągnięciem jako prezydenta. Pchany w jednym kierunku przez partyzantów Francji, w drugim popchnięty przez zwolenników Wielkiej Brytanii, Waszyngton wierzył, że w krytycznych latach swojej młodości jako narodu Stany Zjednoczone muszą zachować swobodę rozwoju na swój własny sposób, dalszego rozwoju, konsolidacji, a tym samym utrwalenia narodowej jedności. W ten sposób niezłomnie trzymał się przekonania, że dezyderatem dyplomatycznym jego czasów było, aby Amerykanie wyrzekli się stronniczości dla jednej lub drugiej potęgi i prowadzili niezachwianą neutralną politykę. Czynienie inaczej oznaczałoby zabieganie o najpoważniejsze niebezpieczeństwo, przed którym stoi nowy naród: zagraniczne uwikłania, które mogą doprowadzić Stany Zjednoczone do udziału w zagranicznych wojnach i ostatecznie do utraty niepodległości. Punkt należy podkreślić. J. A. Carroll powiedział, że w żadnym innym przypadku „podczas swojej kadencji jako dyrektor naczelny Waszyngton tak obficie nie zademonstrował swojej roli w rządzie ani tak dramatycznie swojej wielkości w sztuce rządzenia państwem”. W roku 1793 wykuł rządy neutralności w ich fundamentalnej formie i przez następne nasze lata opierała się na nich cała jego polityka”. Surową próbą nie tylko amerykańskiej neutralności, ale także prezydenckiej cierpliwości było przyjęcie nowy francuski minister, obywatel Edmond Genet. Świadomy tego, że Genet będzie nalegał, aby Ameryka dotrzymała swoich zobowiązań traktatowych i zrobiła wszystko, co w jej mocy, aby pomóc oblężonej siostrzanej republice, administracja waszyngtońska wprost stanęła w obliczu trudności w utrzymaniu neutralności narodu w obliczu jego słabości dyplomatycznej. Genet, „zuchwały, egoistyczny, ekstrawagancki w swoich ambicjach”, był pewien, że może uczynić ze Stanów Zjednoczonych „przyczółek francuskich nastrojów rewolucyjnych, a także odradzającego się francuskiego imperializmu”. Ogromna liczba Amerykanów, beztrąsko nieświadoma tego, nie neutralnych oczekiwań Francuza, ciepło przyjął Geneta jako symbol niezłomnego sojusznika i oblężonej siostrzanej republiki. Entuzjastycznie witany podczas swojej spokojnej podróży z Charleston w Południowej Karolinie do stolicy kraju, Genet przybył do Filadelfii 16 maja 1793 r., okrzyknięty salwą armatnią i biciem dzwonów. Prezydent potraktował francuskiego emisariusza w ostrym kontraście: lodowate zachowanie Waszyngtonu zamroziłoby entuzjazm wszystkich, z wyjątkiem najbardziej niewrażliwych dyplomatów. Genet był wyjątkowo tępy. Lekceważąc ostrzegawczy sygnał prezydenta, rady sympatyzujących z nim Republikanów i prawa Stanów Zjednoczonych, Genet trzymał się przekonania, że Amerykanie muszą tylko usłyszeć jego wezwanie, by zjednoczyć się wokół sztandaru rewolucji francuskiej. Oszukując się w ten sposób, prowadził politykę sugerującą, że Stany Zjednoczone są satrapią Francji, a nie suwerennym sojusznikiem narodu. Organizował wyprawy przeciwko Florydzie i Luizjanie, wyposażał i uzbrajał korsarzy, kierował zwrotem ich łupów do amerykańskich portów i starał się spopularyzować pogląd, że przetrwanie amerykańskiego republikanizmu zależy od sukcesu

francuskiej broni. Waszyngton był oburzony i zły z powodu rażącego nadużycia stanowiska ministerialnego przez Geneta, wobec którego sekretarz stanu był zdumiewająco pobłażliwy. Przekonawszy się, że emisariusz bliskiego republikańskiego sojusznika Ameryki nie może zrobić nic złego, Jefferson nalegał, aby Genet rozwiewał wszelkie wątpliwości. Wątpliwości szybko jednak stały się nie do odparcia i na początku sierpnia sekretarz stanu był gotów wraz z kolegami z gabinetu zatwierdzić decyzję prezydenta o odwołaniu Geneta. Dopóki Francuzi mieli czas na odpowiedź, Waszyngton musiał znosić Geneta, którego zuchwalstwo było równie nieokiełznane jak wcześniej. Aby upewnić się, że prezydent był na bieżąco informowany o tym, jak lekkomyślny był Francuz, dwóch wybitnych federalistów, senator Rufus King z Nowego Jorku i główny sędzia John Jay, opublikowali w nowojorskiej gazecie następujące zwięzłe oskarżenie: „Pan Genet, francuski minister, powiedział, że będzie odwoływał się do ludzi od niektórych decyzji prezydenta. Daleki od zaprzeczenia zarzutom, Genet wystosował publiczny list do Waszyngtona, w którym powiedział, że właśnie to zrobił i jest gotów zrobić to ponownie. Chociaż Waszyngton był zadowolony z przytłaczająco przychylnego poparcia publicznego, jakie mu przyznano, pozostał pozornie bezstronny: nie podziękował Kingowi i Jayowi, ku ich rozczarowaniu, i na prośbę Geneta zarządził dochodzenie w celu ustalenia, czy francuski minister został zniesławiony. Waszyngton przetrwał jeszcze sześć miesięcy cierpliwie nieskrępowane wysiłki Geneta mające na celu osłabienie rządu amerykańskiego. Wreszcie, na początku 1794 r., przybył nowy francuski minister, Jean Antoine Joseph Baron Fauchet, z rozkazem aresztowania jego poprzednika i odesłania go z powrotem do Francji. Waszyngton charytatywnie udzielił azylu Genetowi, który w ten sposób zachował głowę, oddając serce jednej z córek gubernatora George'a Clintona, z którą osiedlił się na wsi w Nowym Jorku. W międzyczasie dawny patron Geneta przeszedł na emeryturę do wiejskiej Wirginii. Jefferson, zmęczony politycznymi nadużyciami i sprzeczkami, 31 lipca 1793 r. złożył rezygnację (z końcem grudnia 1793 r.) i wyjechał do Monticello miesiąc później. Ponieważ wrócił do stolicy dopiero w listopadzie, ten wrześniowy wyjazd oznaczał koniec jego kadencji jako sekretarza stanu. Został on zastąpiony przez prokuratora generalnego Edmunda Randolpha. Dla Waszyngtona odejście Jeffersona byłoby poważnym obciążeniem. Ten ostatni nie tylko mógł teraz stanąć na czele politycznej opozycji wobec administracji Waszyngtona, ale prezydent został również pozbawiony doradcy, którego opinie często stanowiły konieczną przeciwwagę dla poglądów sekretarza skarbu. Jak podsumował Flexner: „Sama istota procesu decyzyjnego w Waszyngtonie została wypaczona. Ponieważ starał się, zanim doszedł do konkluzji, zrównoważyć wszystkie punkty widzenia, uznał za niezwykle cenne przedstawienie mu argumentów najzdolniejszych członków obu głównych frakcji. Teraz, kiedy Hamilton przemówił, nie było równie mocnego głosu do odpowiedzi”. Dobitnie pokazał to przebieg stosunków anglo-amerykańskich w ostatnich latach prezydentury Waszyngtonu. Administracja ledwie zdążyła odetchnąć zbiorowo z ulgą po uspokojeniu stosunków z Francją, które nastąpiło po przymusowym przejściu Geneta na emeryturę, kiedy stanęła w obliczu niepokojących dowodów ożywienia wrogości ze strony Anglii. Po pierwsze, rząd brytyjski był wyraźnie zdeterminowany, aby odciąć kwitnący handel amerykański z francuskimi portami karaibskimi, który nastąpił po decyzji Francji z lutego 1793 r. o otwarciu wcześniej strzeżonego handlu zachodnioindyjskiego ze Stanami Zjednoczonymi. Determinacja Wielkiej Brytanii przybrała formę szeregu zarządzeń w radzie, które nonszalancko ignorowały neutralność – a to oznaczało szczególnie amerykańskieg – prawa. Do stycznia 1794 roku Brytyjczycy dokonywali masowych przechwytywania statków pływających pod banderą Stanów Zjednoczonych, systematycznie ignorując protesty rządu. Takie aroganckie ataki na amerykański handel skierowały energię Kongresu zimą i wczesną wiosną 1794 roku w „powódź ustawodawstwa mającego na celu wojnę”, pomimo uchylecia w styczniu najbardziej budzącego sprzeciw zarządzenia rady i zmniejszenie masowego potępienia amerykańskich statków przez brytyjskie sądy admiralicji w Indiach Zachodnich. Takie drobne ustępstwa były równoważone innymi długoletnimi skargami - wykluczeniem amerykańskich statków z brytyjskich portów zachodnioindyjskich, utrzymaniem amerykańskich punktów handlu futrami na północnym zachodzie,

odmową uregulowania granicy stanu Maine, niechęcią do przyznania odszkodowań za niewolników uprowadzonych przez armię brytyjską w 1783 r. i poszukiwanie brytyjskich dezertersów na amerykańskich statkach i ich wrażeń na wątplych dowodach. Dla większości kongresmanów, zarówno federalistów, jak i republikanów, nadszedł czas na kolejną udaną karę za imperialną arogancję. W związku z tym 28 marca 1794 r. Nałożono miesięczne embargo (później przedłużone) na całą zagraniczną żeglugę, po czym podjęto nieudaną próbę sekwestracji długów podmiotów amerykańskich wobec brytyjskich. Tym środkiem karnym towarzyszył sponsorowany przez federalistów program narodowej gotowości, wzywający do fortyfikacji portowych, zwiększenia armii i budowy okrętów wojennych. Chociaż Waszyngton podzielał pogląd, że szkody wyrządzone Stanom Zjednoczonym przez Wielką Brytanię muszą zostać naprawione, uważał, że właściwą polityką nie jest ani wojskowa parada, ani środki odwetowe, ale dyplomacja. Był przekonany, że pomyślne negocjacje są jedyną rozsądną alternatywą dla rujnującej wojny. Komu należy je powierzyć? Gdyby Waszyngton spełnił jego życzenie, amerykański negocjator byłby jego najbardziej zaufanym doradcą. Ale domniemana anglofilia Hamiltona (rzekomo rozciągająca się nawet na monarchizm), jego kontrowersyjna pozycja w amerykańskiej polityce i wynikająca z tego burza, jaką wywołałoby jego oznaczenie, uniemożliwiły nominację New Yorkera. Po przeprowadzeniu akwizycji innych wykwalifikowanych wysłanników – między innymi Johna Adamsa, prezesa Sądu Najwyższego Johna Jaya i Jeffersona – Waszyngton ugiął się przed naleganiami Hamiltona, by „Mr. Jay jest jedynym człowiekiem, którego kwalifikacje do odniesienia sukcesu są całkowicie pewne”. Chociaż instrukcje Jaya zostały sporządzone przez sekretarza stanu Edmunda Randolpha, zawierały one niektóre sugestie Hamiltona (zwłaszcza jego naleganie, aby te instrukcje były w dużej mierze uznaniowe, a nie wąsko nakazowe), ale wiernie odzwierciedlały pomysły prezydenta. Wysłannikowi amerykańskiemu polecono przekonać Anglię do wykonania niezrealizowanych części anglo-amerykańskiego traktatu pokojowego z 1783 r., zapewnić odszkodowanie za przejęcie i potępienie amerykańskich statków oraz uzyskać akceptację anglo-amerykańskiego traktatu handlowego. Jay został stanowczo poinstruowany, aby nie podpisywać żadnego traktatu, który byłby sprzeczny z amerykańskimi zobowiązaniami we Francji lub nie zezwalałby amerykańskim statkom na wejście do portów Brytyjskich Indii Zachodnich. Wynik misji dyplomatycznej, dzięki której Waszyngton skutecznie przeciwstawił się wojowniczości Kongresu, zależał teraz od Jay'a, bardziej instrumentalnie, od lorda Grenville'a, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych. 12 maja 1794 roku Jay wyjechał do Londynu, gdzie miesiąc po miesiącu szukał ustępstw, na które Grenville tylko skąpo pozwalał. Podczas gdy Jay starał się wyrwać Anglii szacunek dla suwerennego statusu Ameryki i uznania jej praw jako państwa neutralnego, administracja w Waszyngtonie próbowała zapewnić nadrzędność prawa federalnego wobec podatników zalegających z płatnościami. Chodziło o akcyzę na whisky, dozwoloną ustawą z marca 1791 r., która spotkała się z silnym sprzeciwem wśród gorzelników, zwłaszcza w najbardziej wysuniętych na zachód hrabstwach Pensylwanii. Tam w 1792 r. wybuchła przemoc, na którą Waszyngton zareagował wydaniem 15 września proklamacji wzywającej wszystkich obywateli do „powstrzymania się i zaniechania” utrudniania egzekwowania prawa federalnego. Przez ponad półtora roku administracja waszyngtońska prowadziła politykę pacyfikacyjną, która zdawała się łagodzić aktywny opór wobec akcyzy, ale począwszy od wiosny 1794 r. Do Filadelfii dotarły wieści o niezadowoleniu i okazjonalnej przemocy. W środku lata zostały one zastąpione przez systematyczną i powszechnie wspieraną kampanią mającą na celu zamknięcie federalnego systemu podatkowego na obszarze dotkniętym kryzysem - tak przynajmniej wydawało się prezydentowi i jego doradcom z Departamentu Skarbu. Na posiedzeniu rządu w dniu 2 sierpnia, w którym uczestniczył również gubernator Pensylwanii Thomas Mifflin, Waszyngton uzyskał porady, jak poradzić sobie z pozornie nieuchronnym powstaniem. Dyskusja gabinetu nie przyniosła rozstrzygnięcia, a Waszyngton poprosił uczestników konferencji o przedstawienie pisemnych opinii. Hamilton wezwał do użycia wojska w celu stłumienia tego, co bez wahania nazwał zdradą, stanowisko to popierane przez prokuratora generalnego i sekretarza wojny.

Sekretarz Stanu Edmund Randolph i Mifflin wyrazili sprzeciw. Decyzja należała do prezydenta. Świadomy tego, że nawet gdy gabinet obradował, około pięć tysięcy dysydentów, w tym wielu uzbrojonych, gromadziło się na Braddock's Field niedaleko Pittsburgha, Waszyngton szybko podjął decyzję: obywatele zachodnich hrabstw nie tylko rażąco przeciwstawiali się prawu federalnemu, którego należy przestrzegać ale także kontemplacja powstania, któremu należy przeciwdziałać siłą. Przed wydaniem armii rozkazu marszu na zachód Waszyngton wydał proklamację nakazującą powstańcom rozproszenie się i wzywającą wszystkich mieszkańców okolicy do „zapobiegania i tłumienia niebezpiecznych postępowań”. Następnie oczekiwał na raport komisarzy wyznaczonych do negocjacji z powstańcami. Do 9 września prezydent, zrozpaczony możliwością polubownego załatwienia sprawy i zaniepokojony, że sezon, w którym możliwe były operacje wojskowe, szybko mija, zatwierdził rozkaz generalnego spotkania wojsk w Carlisle. Świadomy prestiżu, jaki jego obecność nada ekspedycji karnej, postanowił osobiście objąć dowództwo nad spodziewanymi piętnastoma tysiącami milicjantów z Pensylwanii i sąsiednich stanów Maryland, New Jersey i Wirginia. Hamilton nalegał, aby iść dalej, racjonalizując to, że skoro działania jego własnego departamentu były rzekomą przyczyną powstania, nie mogło „nie mieć dobrego skutku”, gdyby brał udział w „niebezpieczeństwie dla swoich współobywateli”. 30 września 1794 r. prezydent z charakterystyczną dla siebie zwięzłością zanotował w swoim dzienniku: „Opuściłem Filadelfię około wpół do dziesiątej tego przedpołudnia w towarzystwie pułkownika Hamiltona”. Kilka godzin po opuszczeniu stolicy dogonił ich postaniec z oficjalną paczką dla prezydenta. Zawierała wieści od generała Anthony'ego Wayne'a, opisujące serię oszałamiających zwycięstw nad Indianami na północnym zachodzie. Zakończyło się to 20 sierpnia głośnym triumfem Wayne'a w bitwie pod Fallen Timbers, zwycięstwem, które otworzyło kraj na Ohio i zmniejszyło, choć nie zniszczyło, wpływy anglo-kanadyjskie na rdzennych Amerykanów w tym regionie. Zachęcony faktem, że daleka zachodnia granica była na razie wolna od konfliktów, Waszyngton mógł bardziej zdecydowanie skierować swoją uwagę na zbrojny opór mieszkańców Zachodu na bliższej granicy. 4 października trener prezydencki przybył do Carlisle, gdzie wojska zaczynały się gromadzić, a stamtąd Waszyngton udał się na zachód do Fort Cumberland, a następnie do Bedford, gdzie wkrótce miała się spotkać cała milicja. Nadając ekspedycji prestiż swojej osobistej obecności, Waszyngton wrócił do Filadelfii, aby zająć się innymi pilnymi sprawami. Na jego miejsce na dowódcę wojsk federalnych wyznaczył gubernatora Henry'ego Lee z Wirginii, którego instrukcje przygotował Hamilton, który pozostał w armii, aby pomóc w pomyślnym zakończeniu misji. Hamilton był bez wątpienia zachwycony, ale korzyści płynące z jego pozostania zostały utracone praktycznie przez wszystkich oprócz niego i prezydenta. Obecność sekretarza skarbu dodała amunicji republikańskim krytykom, którzy zarzucili, że cała misja wojskowa została przez niego zorganizowana dla osobistych korzyści politycznych. Dla Waszyngtonu, którego zaufanie do Hamiltona było w tym czasie niezłamane, takie oskarżenie było nonsensem; prezydent uważał raczej, że sprzeciw wobec wyprawy do zachodniej Pensylwanii został podszyony przez jego partyzanckich przeciwników. Niezależnie od tego, czy to ostatnie przekonanie było prawdziwe, czy nie, przekonanie Waszyngtonu, że ekspedycja będzie faktycznie i symbolicznie przypominać o narodowej supremacji, było dobrze ugruntowane; milicja nie napotkała zbrojnej opozycji, a nawet ekstremiści ruchu antypodatkowego zostali zniechęceni do dalszego aktywnego oporu wobec akcyzy. Wysłanie wojsk w celu wyegzekwowania posłuszeństwa prawu federalnemu było ponadto precedensem o nieokreślonym, ale z pewnością istotnym znaczeniu historycznym, o czym świadczy między innymi historia integracji szkół południowych w połowie XX wieku i inne późniejsze wydarzenia. Waszyngton wrócił do Filadelfii pod koniec października w oczekiwaniu na dostarczenie swojego szóstego dorocznego przesłania do Kongresu, który miał się zebrać 3 listopada. Korum można było policzyć dopiero 18 listopada, a następnego dnia prezydent przemawiał do Kongresu. Większość jego dwudziestopięciominutowego przemówienia była poświęcona tłu, bezpośrednim przyczynom i stłumieniu tak zwanego Whisky Rebellion (a dokładniej „Insurekcji”). Jego komentarze na temat grzybobójczych „społeczeństw demokratycznych” lub „klubów jakobińskich”, promowanych

dla partykularnych celów przez niektórych wybitnych ówczesnych republikanów, były zdecydowanie najbardziej kontrowersyjną częścią jego przesłania. Waszyngton mówił uwłaczająco o „niektórych stworzonych przez siebie społeczeństwach” i prosił ludzi o ustalenie, czy Rebelia Whiskey „nie została podsycana przez kombinacje ludzi, którzy nie zważając na konsekwencje i nie zważając na nieomylną prawdę, że ci, którzy podburzają, nie zawsze mogą ułagodzić cywilne konwulsje, z niewiedzy lub przeinaczania faktów rozeszły się podejrzenia, zazdrości i oskarżenia całego rządu?”. Choć w kontekście kolejnych wystąpień prezydenckich uwagi Waszyngtonu były dość nieszkodliwe, wywołały wówczas silny oddźwięk w całym kraju. Był to pierwszy raz, kiedy czczony przez naród bohater wypowiedział się publicznie lekceważąco na temat politycznej opozycji. Efekt był natychmiastowy: społeczeństwa demokratyczne praktycznie zniknęły, a republikanie, którzy je zachęcali, zostali zmuszeni do narzekania na osobności, ponieważ nie odważyli się otwarcie stawić czoła prezydentowi. Ze swojej strony Waszyngton prawdopodobnie żałował, że nawet pośrednio zbeształ swoich przeciwników – a tym bardziej, jak prywatnie myśleli niektórzy krytycy w tamtym czasie, że próbował ograniczyć wolność słowa i zgromadzeń. Nigdy więcej publicznie nie krytykował swoich przeciwników politycznych ani nawet w ten sposób się do nich nie odniósł. Ignorowanie opozycji było prawdopodobnie łatwiejsze niż obejście się bez dwóch jego najbardziej zaufanych doradców. Ostatniego dnia 1794 roku Henry Knox ustąpił ze stanowiska sekretarza wojny, aby spróbować ocalić, co się dało, z nierozważnych spekulacji ziemią. Pod koniec stycznia 1795 r. Hamilton zrezygnował z funkcji sekretarza skarbu, głównie dlatego, że nie był już skłonny zobowiązać swojej rodziny do życia z jego skromnych oficjalnych dochodów, ale także dlatego, że był zmęczony oszczerstwami, które spadły na niego i jego politykę. Znalezienie urzędników o podobnych umiejętnościach nie było łatwe. Ale Oliver Wolcott Jr., następca Hamiltona, miał duże doświadczenie jako drugi rangą urzędnik Departamentu Skarbu i okazał się kompetentnym ministrem finansów. Timothy Pickering, następca Knoxa, był zawodowym urzędnikiem państwowym z przydatnym doświadczeniem i udowodnioną zaradnością w negocjacjach z plemionami indiańskimi, co było wówczas głównym zadaniem Departamentu Wojny. Głównym problemem Waszyngtonu w 1795 roku był traktat, który John Jay wynegocjował z Wielką Brytanią. Pechowo świadomy tego, że został zmuszony do targowania się ze słabości, Jay wierzył, że zapewnił sobie wszystko, co było wtedy możliwe. Wielka Brytania obiecała zrezygnować z północno-zachodnich stanowisk do czerwca 1796 r., Zapłacić za grabieże amerykańskiego handlu i podpisać traktat handlowy przyznający Stanom Zjednoczonym pewne ograniczone przywileje handlowe z Indianami i Brytyjskimi Indianami Zachodnimi. W zamian Jay miał wyrzec się zasad morskich, które Stany Zjednoczone dotychczas uważały za nienaruszalne – znanego nacisku narodów neutralnych na wolność mórz – i zamiast tego zaakceptował brytyjską interpretację prawa międzynarodowego. Choć wielu ich rodaków nie postrzeżało sprawy w ten sposób, Jay i lord Grenville, brytyjski minister spraw zagranicznych, w rzeczywistości wypracowali quid pro quo w oparciu o realistyczną ocenę panującej sytuacji siłowej. Co więcej, byli przekonani, że traktat jest równie ważny dla mechanizmu, jaki ustanowił dla rozstrzygnięcia dalszych sporów, co dla tego, co formalnie stanowił. Dla wielu Amerykanów prawdziwą miarą Traktatu Jaya nie były jego postanowienia, ale pominięcia i niedociągnięcia. Przeoczenia, które wzbudziły największe oburzenie, to brak jakiegokolwiek oferty odszkodowań dla niewolników uwolnionych przez Brytyjczyków w 1783 r. oraz przemilczenie kwestii wywarcia wrażenia dobrej wiary amerykańscy marynarze w angielskiej marynarce wojennej. Najczęściej ubolewano nad odmową Wielkiej Brytanii przyznania Stanom Zjednoczonym nieograniczonego, a nie częściowego przywileju handlu z Brytyjskimi Indianami Zachodnimi oraz zastrzeżeniem, że amerykańskie statki nie będą przewozić melasy, cukru, kawy, kakao i bawełny do żadnego kraju. Inna część świata. Wkrótce po doręczeniu traktatu sekretarzowi stanu na początku marca 1795 r. prezydent Waszyngton zwołał nadzwyczajne posiedzenie Senatu na 8 czerwca, zastrzegając jednocześnie, że postanowienia traktatu mają być do tego czasu zachowane w tajemnicy. W ciągu następnych kilku miesięcy Waszyngton dokładnie przestudiował dokument wynegocjowany

przez Jaya, zwłaszcza jego sekcje handlowe, co do których, jak przyznał, potrzebował bardziej „intymnej” wiedzy. Czy je zdobył, trzymał się dla siebie: kiedy zebrał się Senat, przedłożył traktat bez własnego zdania. 24 czerwca, po dwutygodniowej debacie prowadzonej na tajnym posiedzeniu, Senat stosunkiem głosów 20 do 10 (dokładnie konstytucyjnie niezbędną większością 2/3) zalecił mu ratyfikację dzieła Jaya, pod warunkiem że klauzula ograniczająca handel amerykański z Brytyjskie Indie Zachodnie (artykuł 12) zostaną zawieszona w oczekiwaniu na „dalsze przyjazne negocjacje”. Dla Waszyngtonu taki warunek stanowił kłopotliwy problem: czy powinien ratyfikować szybko, w pełnym przekonaniu oczekiwaniu na wycięcie lub rewizję tego artykułu, czy też powinien czekać na ratyfikację takiej zmiany? Jego decyzję utrudniła wiadomość, że Brytyjczycy ponownie przejmują amerykańskie statki płynące do Francji. Mimo gniewnej reakcji na ten raport i niezadowolenia z wysokiej ceny, jaką Anglia żądała za zgodę na ograniczone zbliżenie, Waszyngton podpisał traktat 18 sierpnia 1795 r. popularność może znacznie zmaleć. Decyzja ta była w rzeczywistości decyzją bezinteresownej dyplomacji i opierała się na jego jasnym postrzeganiu sytuacji dyplomatycznej nowego narodu. Właściwym celem jego polityki zagranicznej, zdaniem Waszyngtonu, było uniknięcie wojny, do prowadzenia której Ameryka nie była przygotowana. Jego podstawową potrzebą był nie tyle szczególnie korzystny traktat czy nawet korzystny sojusz zagraniczny, ile czas - długi okres pokoju na zagospodarowanie zasobów Ameryki, na dywersyfikację i rozszerzenie rozwijającej się gospodarki, na stworzenie wielkiego wspólnego rynku, na scementowanie wciąż chwiejnej unii i w ten sposób ustanowić potężny naród, zdolny rzucić wyzwanie machinom wojennym i sile morskiej czołowych mocarstw Europy. Przeciwnicy polityczni Waszyngtonu nie zgodzili się na to, a przedłużająca się walka o Traktat Jaya była ważnym kamieniem milowym w amerykańskiej historii politycznej. Konkluzja, do której doszedł w latach pięćdziesiątych XX wieku Joseph Charles, jest nadal powszechnie akceptowana: „W swoich skutkach politycznych [traktat był] najważniejszym środkiem. . . między instytucją programu finansowego Hamiltona a wyborami w 1800 roku”. Kontrowersje wokół traktatu Jaya nie tylko oznaczały dojrzałość pierwszych partii politycznych w kraju, ale także spowodowały fundamentalne zmiany w lojalności partyjnej. Wpływała liczba wybitnych osobistości publicznych, które niezłomie wspierały administrację waszyngtońską, teraz otwarcie przyjęła republikańską opozycję. Wyraźnie uwidoczniło się to wiosną 1796 r., kiedy przywódcy republikańscy w Izbie Reprezentantów postanowili przerwać realizację traktatu. Ich początkowym manewrem było przyjęcie wniosku złożonego przez Edwarda Livingstona z Nowego Jorku 2 marca 1796 r., wzywającego prezydenta do przedłożenia Izbie kopii instrukcji Jaya i związanej z nią korespondencji. Waszyngton, przekonany, że taka prośba jest niezgodna z konstytucją, szukał potwierdzenia tego przekonania, konsultując się z najwyższymi urzędnikami państwowymi i czołowym przywódcą federalistów w kraju, Hamiltonem, który poradził swojemu byłemu szefowi „całkowite przeciwstawienie się” prośbie Kongresu. Tak też uczynił prezydent, uprzejmie, ale stanowczo. Zwiąże przesłanie Waszyngtonu do Izby zakończyło się słowami: „Słuszne poszanowanie Konstytucji i obowiązków mojego urzędu. . . zabrania spełnienia pańskiej prośby”. Świadomi heroicznej pozycji Waszyngtonu wśród jego rodaków, republikańscy przywódcy w Kongresie nie kwestionowali otwarcie twierdzeń prezydenta, ale pośrednio zemścili się, próbując przekonać swoich kolegów do wstrzymania środków niezbędnych do realizacji kluczowych postanowień traktatu. W ciągu kilku tygodni intensywnej debaty wydawało się, że może im się to udać. Przywódcy federalistów, w Kongresie i poza nim, energicznie szukali sposobów na uratowanie traktatu. Drogę zapewniły powszechne wrzawy i potop petycji protraktatowych. Szereg dezercji zniszczyło dotychczas zjednoczonych Republikanów, a 29 kwietnia Marszałek Izby Reprezentantów rozstrzygnął remis w głosowaniu nad przyznaniem środków na wprowadzenie traktatu w życie. Epizod był oczywiście ważny dla ustanowionych przez niego trwałych precedensów, w szczególności dla wykonywania przywilejów wykonawczych. Z punktu widzenia Waszyngtonu ta decyzja była triumfem trwałego narodu. Prezydent mógł też sobie pogratulować, że ustępstwa poczynione na rzecz Wielkiej Brytanii w traktacie Jaya zostały zrekomensowane pojednawczym duchem Hiszpanii w traktacie z San

Lorenzo, wynegocjowanym przez amerykańskiego wysłannika Thomasa Pinckneya w 1795 r. Imponujące amerykańskie zwycięstwo dyplomatyczne, ten traktat uzyskała wreszcie zgodę Stanów Zjednoczonych na żądanie swobodnej żeglugi po Missisippi i prawo do bezcłowego zdeponowania w Nowym Orleanie amerykańskich towarów oceanicznych. Hiszpania uznała również Missisippi za zachodnią granicę nowego kraju, a trzydziesty pierwszy równoleżnik za północną granicę Florydy. Zgodnie z oczekiwaniami Waszyngtonu traktat pomógł scementować lojalność mieszkańców Zachodu wobec Unii i otworzył drogę do stabilnej amerykańskiej ekspansji na południu i zachodzie. poparcie dla udanych negocjacji Pinckneya było ponadpartyjne, ale traktat Jaya pozostał kontrowersyjną kwestią stroniczą (choć furia, jaką początkowo wzbudził, opadła), subtelnie wpływając na ostatnie dwa lata urzędowania Waszyngtonu. Po zatwierdzeniu przez niego tego ostatniego traktatu w sierpniu 1795 r. Waszyngton po raz pierwszy podczas swojej rezydencji stał się obiektem osobistych nadużyć, nie tylko w tej sprawie, ale także w innych kwestiach. Typowi byli anonimowi współpracownicy Philadelphia Aurora, wówczas najbardziej zacieklej partyjnej i oszczerczej gazety republikańskiej. Jeden z takich pisarzy nazwał prezydenta „Świętym Waszyngtonem”, przywódcę politycznego wyróżniającego się jedynie „odosobnieniem mnicha i wyniosłym [sic] dystansem tyrana”, a inny zbesztął go propozycją korony. Waszyngton był najbardziej zaniepokojony oskarżeniem nimusa, że przekracza swoją roczną kieszonkową prezydencką kieszonkową w wysokości 25 000 dolarów. Publiczna odpowiedź na takie ataki byłaby całkowicie nie w jego charakterze, ale wyraził swoją reakcję w prywatnej korespondencji, narzekając, że porównuje się go do Nerona, a nawet do zwykłego kieszonkowca. Po czterdziestu pięciu latach skomentował, że był zmęczony byciem „buforowanym w publicznych drukach przez zestaw niesławnych bazgrołów” i teraz tęsknił za emeryturą. Nadużycia ze strony partyzantów nie skłoniły Waszyngtonu do poparcia dopuszczalności partii politycznych w amerykańskim systemie konstytucyjnym, a tym bardziej do wyznania wierności jakiegokolwiek partii. Wręcz przeciwnie, nadal ostrzegał swoich rodaków przed „zgubnymi skutkami ducha partyjności”, który, używając słów jego pożegnalnego przemówienia, „służy zawsze odwracaniu uwagi rad publicznych i osłabianiu administracji publicznej. Choć Waszyngton nigdy nie myślał o swojej administracji jako o przedstawicielu partii lub o sobie jako o przywódcy partyjnym, fakty były nieco sprzeczne. W ostatnich latach swojej prezydentury mianował na urząd tylko tych, których idee polityczne były zgodne z jego własnymi. Jak napisał do członka swojego gabinetu: „Dopóki mam zaszczyt kierować rządem, nie poprowadzę świadomie na żaden znaczący urząd człowieka, którego doktryny polityczne są przeciwne środkom, które realizuje rząd generalny”. ; byłoby to, moim zdaniem, swego rodzaju politycznym samobójstwem”. Tak więc Waszyngton nie tylko zapoczątkował praktykę, która byłaby trwała, ale także pośrednio ustanowił niezamierzony precedens, dla którego nie było konstytucyjnej gwarancji: rola prezydenta jako Lider partii. Choć Waszyngton zaprzeczał, że był liderem partii, wielokrotnie potwierdzał przywództwo prezydenta w sprawach zagranicznych. W ostatnich latach jego administracji, podobnie jak przez cały okres prezydentury, nękały go problemy dyplomatyczne. Naród przetrwał burzę stosunków anglo-amerykańskich w latach 1794–1796, by znaleźć się w konflikcie z Francją. Twierdząc, że na mocy traktatu Jaya Stany Zjednoczone sprzymierzyły się z Wielką Brytanią i rzekły się swoich zobowiązań traktatowych wobec sojusznika z wojny o niepodległość, Francuzi rozpoczęli w 1796 roku systematyczną politykę nękania na morzu i przymusu dyplomatycznego, mającą na celu sprowadzenie rzekomo niewdzięcznego i niesfornego nowego narodu w linię. W lipcu 1796 r. Waszyngton, aby uspokoić krajowych krytyków, pozostawiając jednocześnie otwarte drzwi do przyjaznych negocjacji, wyznaczył Charlesa Coteswortha Pinckneya z Karoliny Południowej na amerykańskiego ministra we Francji, zastępując Jamesa Monroe, którego żarliwa frankofilia nie przyniosła umiaru w polityce francuskiej, ale zantagonizowała Francję. przywódcy federalistów. Daremność ministerstwa Pinckneya zostanie zademonstrowana pod rządami drugiego prezydenta narodu. Szczęśliwie świadom, że wkrótce zostanie wybrany jego następca, Waszyngton zwrócił uwagę na formę i termin ogłoszenia jego przejścia na emeryturę. Jego pierwszą skłonnością było użycie

zmodyfikowanej wersji listu pożegnalnego, który James Madison na prośbę prezydenta sporządził we wrześniu 1792 roku. Dostosowując swoją pracę do heroicznego schematu czołowego Amerykanina swoich czasów, Madison uniknął kontrowersyjnych kwestii i skupiał się zamiast tego na powszechnie cenionych uczuciach narodowych, takich jak doskonałość Konstytucji i konieczność zachowania Unii. Po ponownym przeczytaniu projektu Madison jakieś cztery lata później Waszyngton doszedł do wniosku, że wystarczy go zaktualizować, aby uwzględnić „znaczące zmiany”, które miały miejsce później, zwłaszcza w sprawach zagranicznych. Sam prezydent podjął się tego zadania, pisząc zwięzły dodatek (właściwie listę tego, co nazwał „życzeniami”), który po prostu przyczepił do projektu Madison. Najbardziej spostrzegawczy badacz przemówienia pożegnalnego, Felix Gilbert, opisał aneks Waszyngtona jako „zbiór różnorodnych myśli i idei”, które „nie były ani ściśle zintegrowane, ani systematycznie zorganizowane”. Niemniej jednak poglądy, które wyraził, wiernie odzwierciedlały jego aktualnymi troskami i długoletnimi podstawowymi zasadami. Waszyngton zwrócił uwagę na osobiste upokorzenia, jakie znosił jako główny sędzia, opłakane podziały partyjne i inne trudności wewnętrzne, jakie napotkał, oraz centralne znaczenie problemów polityki zagranicznej, z którymi zmagał się podczas swojej drugiej administracji. Jeśli chodzi o ostatni temat, Waszyngton wskazał niebezpieczeństwa, którym należy stawić czoła, pułapki, których należy unikać, oraz odpowiednią politykę, jaką należy zastosować. Wśród niebezpieczeństw, przed którymi ostrzegał Waszyngton, były obce wpływy w amerykańskich sprawach wewnętrznych. Pułapki, na które zwrócił uwagę, to unikanie zarówno powiązań politycznych z innymi narodami, jak i fałszywość poglądu, że w stosunkach międzynarodowych narody kierują się motywami altruistycznymi. Najważniejszymi politykami, których należało przestrzegać, były wierność zobowiązaniom traktatowym, duma z charakterystycznej narodowości Ameryki, przestrzeganie polityki prawdziwej neutralności i zachowanie Unii. W tym momencie Waszyngton, jak to często robił, zwrócił się do Hamiltona o radę. The New Yorker został poproszony albo o zrewidowanie wstępnego szkicu przemówienia pożegnalnego (zasadniczo oryginalnej wersji Madison plus dodatek Waszyngtona), albo, jeśli uzna to za konieczne, o „nadanie całości innej formy”. Hamilton zrobił jedno i drugie, licząc na to, że prezydent zaakceptuje zadeklarowane przez nowojorczyka preferencje tego, co nazwał swoim własnym „Oryginalnym głównym szkicem”. Chociaż mniej więcej połowa tego ostatniego była dziełem Hamiltona (reszta była parafrazą eseju Madison-Washington), nie zawierał niczego, co byłoby sprzeczne z ideami Waszyngtona, w których Hamilton, ze względu na długie doświadczenie z pierwszej ręki, był autorytetem. Tak więc najszlachetniejsze prezydenckie przesłanie pożegnalne w historii Ameryki, pomimo ważnego wkładu w nie Hamiltona, zostało właściwie opisywane jako przemówienie pożegnalne Waszyngtona. Nadal jest czytany zarówno w Senacie, jak i w Izbie Reprezentantów każdego 22 lutego, jako hołd dla jego trwałego znaczenia i pierwszego prezydenta. Konstytucja oczywiście nie wykluczała trzeciej kadencji prezydenckiej (lub praktycznie dożywotniego urzędu), a wielu zwolenników Waszyngtonu bez wątpienia marzyło o tym, by mógł ponownie kandydować. Ale stale świadomy, jak to skarżył się, że spędził „całą kwiecień swojego życia służąc swojemu krajowi” i zawsze pragnący powrotu do spokojnego Mount Vernon, Waszyngton nigdy nawet przez chwilę nie rozważał możliwości kolejnej kadencji. W ten sposób ustanowił precedens, zgodnie z którym prezydent powinien zrzec się urzędu po dwóch kadencjach, tradycja, która nie została naruszona aż do prezydentury Franklina D. Roosevelta, a następnie została zinstytucjonalizowana w dwudziestej drugiej poprawce do konstytucji. Kolejna wybitna cecha zachowania Waszyngtona podczas wyborów 1796 zdecydowanie nie był kopiowany przez większość jego następców: postanowił nie odgrywać żadnej roli w wyborze swojego potencjalnego następcy ani w późniejszej kampanii. Nie tylko trzymał się swojego postanowienia, ale także nie złożył żadnego nagranych oświadczenia w sprawie wyboru kandydata federalistów Johna Adamsa na prezydenta i kandydata republikanów Thomasa Jeffersona na wiceprezydenta. 4 marca 1797 roku John Adams został zaprzysiężony jako drugi prezydent Stanów Zjednoczonych. Wśród siedzących obok Adamsa na podwyższonym podwyższeniu w Sali Kongresowej był jego poprzednik

prezydencki, który ubrany w staromodny czarny płaszcz był, ku wielkiemu rozczarowaniu prezydenta elekta, w centrum uwagi. Charakterystycznie opanowany, pozornie beznamiętny, Waszyngton był wewnątrz zachwycony rezygnacją z urzędu, którego ani nie szukał, ani nigdy nie pragnął. Adam zrozumiał. Jego inauguracja, jak napisał nowy prezydent, była „uroczystą sceną”. . . poruszyła mnie obecność Generała, którego oblicze było pogodne i bezchmurne jak dzień. Wydawało się, że cieszy się z triumfu nade mną. Wydawało mi się, że słyszałem, jak mówił: „Tak, ja jestem całkiem na zewnątrz, a ty całkiem w środku!”. Zobacz, który z nas będzie najszczęśliwszy”. Cokolwiek Adams mógł sobie pomyśleć, Waszyngton był pewien, że tak będzie. Po uroczystościach inauguracyjnych były prezydent udał się do hotelu Francis, w którym tymczasowo mieszkał Adams. Po złożeniu gratulacji swojemu następcy, Waszyngton pojawił się i został powitany przez entuzjastyczne okrzyki tłumu, który zgromadził się na zewnątrz. Oklaski, które rozległy się, były symbolem tego, co czekało go przez następne dziesięciolecia.

Ostatnie lata

Pragnąc jak najszybciej wrócić do domu, Waszyngton szybko pozbył się rzeczy jednorazowego użytku i wynajął słupek, aby wysłać znaczną pozostałość na nabrzeże swojej plantacji. 15 marca 1797 jego powóz zatrzymał się przed Mount Vernon. Wsiadając, Waszyngton z radością zapewnił sobie, że teraz będzie miał „prawdziwą przyjemność bardziej niż wszystkie zajęcia, którymi zajmowałem się przez ponad czterdzieści lat”. próżność i utrapienie”. Przypuszczalnie przeoczył fakt, że życie prywatne również pociąga za sobą udręki. Najważniejszym z nich był zrujnowana sytuacja, w jakiej znalazł się Mount Vernon, i pogarszający się stan jego gospodarstw z powodu oczywistego złego zarządzania. Po wielu miesiącach prac remontowych jego posiadłość została przywrócona do dawnego solidnego i ładnego stanu, ale przywrócenie jego gospodarstw do stanu dochodowego było problemem, z którym zmagał się, w dużej mierze bezskutecznie, aż do śmierci. Sytuację, która w przeciwnym razie spowodowałaby „długi i trudności”, złagodziła sprzedaż gruntów, które Waszyngton kupił w celach spekulacyjnych. W lipcu 1799 roku oszacował, że jego wciąż niesprzedane ziemie są warte 488 137 dolarów (kilka milionów w dzisiejszej walucie). Z pewnością Waszyngton potrzebował dużego zewnętrznego dochodu. Nie tylko utrzymywał liczną załogę domową i żył w stylu godnym dżentelmena z Wirginii, ale w Mount Vernon nieustannie roiło się od gości — miejscowych przyjaciół, byłych oficjalnych znajomych, i obcy, którzy chcieli poznać największego bohatera Ameryki. Waszyngton nie protestował. Chociaż całe dni — niezależnie od pogody - spędzał na jeździe po okolicy i pilnowaniu swoich posiadłości, przy kolacji i we wczesnych godzinach porannych witał dywersyjne towarzystwo. Ani zarządzania jego gospodarstwami, ani rozrywki wielu przyjaciół wyparło jego zainteresowanie sprawami państwowymi, które uważnie śledził, zwłaszcza pogarszające się stosunki z Francją, które późną wiosną 1799 r. przekształciły się w quasi-wojnę. Jego ufne oczekiwanie, że zaangażowanie w sprawy publiczne będzie jedynie zastępcze, zostało zniszczone, gdy 2 lipca 1799 r. Prezydent Adams mianował go generałem porucznikiem i dowódcą nowo powiększonej armii amerykańskiej. Po konsultacji w sprawie nominacji przed jej dokonaniem Waszyngton zgodził się ją przyjąć tylko pod warunkiem, że nie obejmie czynnego dowództwa, chyba że „stało się to nieodzowne ze względu na pilność okoliczności”. zaufanego ministra finansów Hamiltona, który za namową Waszyngtonu i ku rozczarowaniu Adamsa został mianowany generałem dywizji i generalnym inspektorem armii. Chociaż Waszyngton sumiennie wykonywał swoje niezbędne obowiązki wojskowe, były one minimalne i wkrótce nominalne. Adams, zazdrosny o Hamiltona i propagator gotowości morskiej, a nie wojskowej, nie tylko dopilnował, aby armia została tylko nieznacznie wzmocniona, ale także rozpoczął negocjacje - z czasem pomyslane - w celu zakończenia niewypowiedzianej wojny francusko-amerykańskiej. W międzyczasie generał porucznik Washington kontynuował swój charakterystycznie spokojny harmonogram w Mount Vernon. Uporządkował też swoje sprawy, sporządziwszy testament, w którym większość majątku pozostawił jego żonie Marcie „do końca jej naturalnego życia”. Wyjątkowe było

zastrzeżenie, że po śmierci Marty wszyscy jego niewolnicy zostaną uwolnieni. Waszyngton był jedynym ojcem założycielem w Wirginii, który podjął tę humanitarną decyzję. Dni mijały, a niezmacona rutyna Waszyngtona znalazła odzwierciedlenie w jego dzienniku, w którym jednolicie odnotowywano pogodę. W dniu 13 grudnia 1799 r. jego dziennik odnotował, że temperatura spadła i że był lekki mróz. Tego samego dnia generała rozbolało gardło. W środku następnego nocy nagle poważnie zachorował, jego mowa była prawie niesłyszalna, a oddech miał trudności. 14 grudnia jego stan szybko się pogorszył. Trzej lekarze wezwani do jego łóżka wielokrotnie krwawili i oczyszczali go (standardowa praktyka tamtych czasów). Około północy zmarł pierwszy i najważniejszy bohater Ameryki.